

LEWACKI PROGRAM "SOLIDARNOŚCI"

Rok ubiegły zakończył się dwoma ważkimi dla "Solidarności" wydarzeniami. Powołany został Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ "S" oraz wydane dwa oświadczenia grupy członków Komisji Krajowej znanych z okresu legalnej działalności Związku, a obecnie skłóconych z Lechem Wałęsą i kierowniczymi organami "Solidarności". Pierwszy fakt komentujemy w odrębnym artykule. W tym miejscu pragnęlibyśmy zająć się faktem drugim.

Grupa Robocza "Solidarności"

Już w okresie legalnego działania Związku uwidoczniły się podziały w kierownictwie. Wyrazem tych podziałów były między innymi wybory Przewodniczącego podczas Zjazdu w Oliwii. Przeciwko kandydaturze Lecha Wałęsy stanęło wtedy trzech znanych działaczy - Andrzej Gwiazda, Jan Rulewski i Stefan Jurczyk. Były to wszystko osoby znane, zaliczane do "historycznych" przywódców Związku, to jest tych, którzy w sierpniu i wrześniu 1980 roku kierowali strajkami i z tej racji cieszyli się niekwestionowanym autorytetem. Podczas tak zwanego kryzysu bydgoskiego doszło do wyraźnego konfliktu między Wałęsą a częścią Prezydium Komisji Krajowej. Powodem konfliktu był tryb podejmowania decyzji w najważniejszych sprawach Związku. Decyzje podejmował Wałęsa, w porozumieniu ze swymi doradcami /nie mającymi wszakże mandatu do kierowania "Solidarnością"/, nie zaś kierownicze gremia - Komisja Krajowa i jej Prezydium. Te niedemokratyczne praktyki Wałęsy spotykały się z coraz żywszymi protestami i we wrześniu 1981 roku, podczas Zjazdu nikt nie miał wątpliwości, że wystawione przeciwko Wałęsie kandydatury nie są jedynie symbolicznym gestem /jakim było na Zjeździe PZPR wystawienie kontrkandydatury Barcikowskiego/, lecz próbą, co prawda nieskuteczną, zmiany kierownictwa "Solidarności".

Sytuacja w kierownictwie Związku skomplikowała się podczas stanu wojennego i w latach późniejszych. Część działaczy została internowana lub uwięziona, część zesłała do podziemia i tam wyrobiła sobie ogromny autorytet, część wyemigrowała z Polski, a część poprostu zaprzestała działalności. Po kolejnych amnestiach ludzie wychodzili z więzienia i to jeszcze bardziej komplikowało sytuację statutową. Przez jakiś czas działały dwa organy kierujące Związkiem - tajna Komisja Koordynacyjna i jawna Tymczasowa Rada "Solidarności". Choć nie dochodziło między nimi do otwartych konfliktów, ta dwuwładza wywoływała niepokój członków "Solidarności". Oba te organy działały zresztą na zasadzie kooptacji, a nie wyboru. Statutowe ciało, jakim była Komisja Krajowa przestało faktycznie istnieć z powodu tego, że większość jej członków wyemigrowała lub wycofała się z czynnej działalności. Natomiast przy kooptacji do ciał pozastatutowych część działaczy została pominięta. Niekwestionowanym liderem pozostawał Lech Wałęsa, który mógł się wylegitymować demokratycznym wyborem podczas statutowego Zjazdu. Pozycja jego wobec ciał niestatutowych oraz kadłubowej Komisji Krajowej pozwoliła mu na rządy niemal dyktatorskie. Pozastatutowe organy kompletowane były na zasadzie kooptacji, nic więc dziwnego, że nie znalazło się w nich miejsce dla ludzi skłóconych z Wałęsą. O ile mieli oni mimo wszystko szansę wpływania na program i politykę "Solidarności" gdy czuli za sobą poparcie swych wyborców, to w okresie nielegalnej działalności zostali pozbawieni wpływów na decyzje dotyczące Związku jako całości. W tej sytuacji doszło do powstania

grupy alternatywnej wobec kierownictwa wyznaczonego przez Wałęsę - Grupy Roboczej "Solidarności".

Skład Grupy Roboczej jest w pewnym sensie przypadkowy. Łączy ją tylko opozycja do Wałęsy, a nie wspólny program. Z jednej strony jest więc Andrzej Gwiazda, deklarujący się /przynajmniej kiedyś/ jako były działacz KORu i Seweryn Jaworski, zbliżony w roku 1981 do tak zwanych "Prawdziwych Polaków" /grupy skłóconej z działaczami KOR-u/, jest Jan Rulewski, mający opinię radykała i Jerzy Kropiwnicki, działacz umiarkowany, wyznający idee chrześcijańsko-demokratyczne.

Działacze Grupy Roboczej domagali się uznania prymatu ciał statutowych Związku, godząc się na kooptację do nich działaczy, którzy zyskali autorytet po 13 Grudnia, lecz ostro protestując przeciw wyeliminowaniu działaczy niegdyś legalnie wybranych /a więc przede wszystkim ich samych/. Niezbędne stało się także opracowanie zarysów programu pozytywnego. Dla Grupy Roboczej punktem wyjścia był protest przeciwko politykowaniu Wałęsy i jego doradców. Grupa Robocza podkreślała zawsze swoje związkowe, a nie polityczne oblicze. Jej działacze twierdzą, że "Solidarność" została założona dla obrony klasy robotniczej, jest związkiem zawodowym, a nie partią polityczną i dlatego nie powinna zawierać politycznych porozumień z władzą, których koszt zapłacą robotnicy. Ta apolityczność Grupy Roboczej w konkretnej polskiej sytuacji jest pozorna. Jej działacze wypowiadają się o najistotniejszych sprawach, dotyczących polityki, zwłaszcza gospodarczej, a są jak najdalej od wzywania Związku, by ograniczył się tylko do działalności w zakładzie pracy. Ochronę interesów ludzi pracy rozumieją podobnie jak w latach 1980-1981. "Solidarność" według nich nie jest obowiązana do wypracowywania pozytywnych programów społeczno-gospodarczych, nie powinna też w żadnym wypadku brać na siebie odpowiedzialności za efekty polityki prowadzonej przez władzę. Związek po prostu domaga się aby w Polsce było lepiej, a skoro komuniści rządzą Polską, to ich sprawą jest zapewnienie, by było lepiej. Tego typu logika, dość zrozumiała w roku 1981 wydaje się dziś anachronizmem. Jest bowiem oczywiste, że polityka komunistów nie może zakończyć się sukcesem, że w krótkim czasie nie doprowadzi do poprawy sytuacji, do wzrostu stopy życiowej, zlikwidowania inflacji, rozwiązania problemów mieszkaniowych. Jest to oczywiste dziś także dla komunistów, którzy godzą się z coraz większą niezależnością społeczeństwa. Skoro władza nie potrafi rozwiązać problemów mieszkaniowych, które obiecywała kiedyś rozwiązać /kto zresztą powiedział, że obowiązkiem władzy jest zapewnienie mieszkań/, to sami ludzie winni się o to starać; skoro władze nie potrafią rozwiązać problemu zadłużenia zagranicznego, to należy pozostawić prywatnym firmom swobodę zawierania międzynarodowych transakcji handlowych i szukania zagranicą prywatnego kredytu; skoro szkolnictwo, ochrona zdrowia, nauka, usługi publiczne coraz gorzej funkcjonują, to społeczeństwo powinno samo zająć się tymi sferami. Rozumieją to coraz lepiej komuniści, godzący się na zwiększenie samodzielności i niezależności społeczeństwa. W roku 1981 sprawa ta nie była jeszcze oczywista i przeważały postawy roszczeniowe - to władza powinna zapewnić nam tak jak obiecywała, dobrobyt. Rolą niezależnych związków zawodowych jest tylko wyegzekwowanie tego od władz. Poglądy takie głoszą do dziś działacze Grupy Roboczej. Postawa taka spycha ich na pozycje lewackie.

Dokumenty alternatywnego kierownictwa

Działacze uspiętej dziś Krajowej Komisji opublikowali w grudniu ubiegłego roku dwa dokumenty. Jeden opracowany jest przez grupę działaczy łódzkich /Kropiwnicki, Słowik/, drugi zaś przez innych członków Grupy. Już sam ten fakt wskazuje na niejednorodność tej grupy. O ile tekst łódzki jest zrozumiały dla działaczy związkowych i protest skierowany jest głównie przeciw nadmiernym wpływom jednego kierunku politycznego w kierowniczych gremiach "S" /to znaczy działaczy lewicowych, laickich/ oraz przeciw hasłom demontażu systemu świadczeń socjalnych, głoszonym przez część opozycji i władzy /naturalną rolę związków zawodowych jest walka o sprawy socjalne/, to drugi dokument jest wyrazem populistycznych i lewackich postaw, cechujących działaczy Grupy i nim właśnie zajmujemy się poniżej.

Dokument składa się z trzech części. W pierwszej zawarte jest żądanie zwołania do końca stycznia posiedzenia Komisji Krajowej. W drugiej ocena sytuacji społeczno-gospodarczej kraju, w trzeciej zaś stanowisko członków KK NSZZ "S" wobec nowej sytuacji. W swej analizie sytuacji dokument posługuje się językiem klasowym, zaczerpniętym od Dżilasa, czy Leszka Nowaka. Biurokracja jest utożsamiana z właścicielami środków produkcji. W takiej optyce system komunistyczny jest w gruncie rzeczy tożsamy z kapitalizmem. Różnice dotyczą jedynie sfery politycznej /w komunizmie dyktatura, w krajach rozwiniętego kapitalizmu demokracja/ i stopnia wyzysku klasy robotniczej. Z poglądów takich wynika zatem protest przeciwko kapitalizmowi i "wyzyskowi" robotników, niezależnie od systemu. Powstaje więc pytanie - skoro nie kapitalizm, to co? Choć autorzy dokumentu nie przedstawiają swej wizji przyszłego ustroju pozytywnym rozwiązaniem sytuacji "wyzysku" klasy robotniczej jest zapewne zniesienie tego "wyzysku" przez bezpośrednie przejęcie zakładów pracy. Jest to oczywiście lewacka utopia.

Dokument Grupy Roboczej atakuje zwłaszcza politykę "porozumienia i reformy". Uznaje jednocześnie, że "polityka ta właśnie wchodzi w okres sukcesu i realizacji". Miałaby ona polegać na tym, że grupa polityków ugodowych, tak zwanej konstruktywnej opozycji otrzymuje pewne koncesje polityczne za cenę zabezpieczenia interesów ekonomicznych systemu. Autorzy dokumentu przez te interesy rozumieją zapewne interesy materialne rządzącego establishmentu /znów podejście klasowe/. Wychodząc więc z punktu widzenia klasowych interesów robotników oskarżają komunistów oraz proreformatorską część opozycji o zмовę, której koszty mają ponieść robotnicy. Sprzeciwiają się między innymi przekształceniom przedsiębiorstw państwowych w spółki, a szczególnie oburza ich fakt, że spółki te będą stopniowo wykupywane przez osoby prywatne, stając się w ten sposób przedsiębiorstwami kapitalistycznymi.

W swej analizie dochodzą do wniosku, że przemiany kapitalistyczne w Polsce doprowadzają stopniowo do zniesienia podziałów na system i społeczeństwo oraz na kapitalistyczny Zachód i komunistyczny Wschód. Niepokoi ich fakt, że zacieranie się tych podziałów osłabi pozycję związków zawodowych, że część opozycji staje się przeciwnikami tych związków. Wreszcie, podejrzewają Kościół o to, że popiera prokapitalistyczne przemiany, a zatem przestaje być wiarygodnym sojusznikiem związków zawodowych.

Z powyższej analizy sytuacji autorzy dokumentu wyciągają wnioski

co do bieżącej taktyki "Solidarności". Zalecają: walkę o maksymalne podwyżki płac, organizowanie "Solidarności" w nowym sektorze gospodarczym /spółkach, nowych spółdzielniach/, prowadzenie akcji informacyjnej na temat rozwoju sektora kapitalistycznego, danie młodzieży wolnej ręki w organizowaniu demonstracji, odrzucenie przez Związek pojęć używanych przez oficjalną propagandę, takich jak pierestrojka, reforma. Na koniec, autorzy pierwszego dokumentu protestują przeciwko eksponowaniu ludzi bogatych jako działaczy związkowych.

Falszywa analiza, fałszywe wnioski

Analizę sytuacji, przeprowadzoną przez autorów drugiego dokumentu Grupy Roboczej uważam za fałszywą. Co więcej, błędy tej analizy nie są przypadkowe, lecz wynikają ze zdecydowanie lewicowych poglądów autorów.

Sytuacja, jaka zaczyna się rywować w Polsce u schyłku XX wieku jest ogromnie skomplikowana. Śmiało można zaryzykować twierdzenie, że jest ona bezprecedensowa w historii Polski. Następuje bowiem przechodzenie od systemu komunistycznego do innego. Niewiadomo, jaki będzie ten inny system, przede wszystkim nie można się jeszcze dziś zorientować, czy będzie nim system znany w innych krajach, czy też jakaś nietrwała hybryda. Ta bezprecedensowa sytuacja jest trudna do zanalizowania. Tymczasem naturalną skłonnością ludzi jest posługiwanie się znanymi sobie schematami, używanie w analizach znanego sobie języka. Autorzy krytykowanego dokumentu posługują się językiem walki klasowej i stosują do sytuacji schemat klasowy. W ich optyce dzisiejsza sytuacja społeczna Polski jest analogiczna do tej, która istniała w okresie wczesnego kapitalizmu. Jest to oczywiście błąd.

Podstawą komunizmu jest upaństwowiona gospodarka. Upaństwowienie i scentralizowanie inicjatyw gospodarczych jest punktem wyjścia do upaństwowienia wszelkiej aktywności społecznej. Odwrót od komunizmu musi zatem rozpocząć się od denacjonalizacji gospodarki. Znamy wiele przykładów systemów dyktatorskich, w których istnieje wolna gospodarka, ale pełny totalitaryzm, to jest pełna kontrola nad aktywnością społeczeństwa i kształtowanie centralne społeczeństwa możliwe jest tylko w przypadku pełnej kontroli gospodarki przez państwo. Tak więc procesy gospodarcze, które trwają od kilku lat w Polsce należy ocenić jako wyłom w totalitaryzmie. Następuje bowiem decentralizacja gospodarki państwowej i coraz szerszy rozwój sektora prywatnego. Procesy te nie są społecznie obojętne. Dywersyfikacja gospodarki powoduje dywersyfikację społeczeństwa. Komunizm zapewnia powszechną równość. Są co prawda "równiejsi", ale grupa ta - aparatczyków i ich pomocników - jest stosunkowo nieliczna. Poza nią niemal wszyscy są równi poziomem materialnym. Lekarz, robotnik, stróż nocny - różnią się wykształceniem, aspiracjami czy jakością pracy, ale mają w zasadzie podobny poziom dochodów. Jeżeli kraj jest słabo rozwinięty jest to rozpiętość od nędzy do ostentacyjnego bogactwa, jeżeli kraj jest rozwinięty skala dochodów rozciąga się od dostatku do dobrobytu. Zawęzić tę skalę można jedynie środkami administracyjnymi. W skrajnym wypadku oznaczać to będzie powrót do komunizmu.

Polska jest teraz krajem słabo rozwiniętym. Rozwieranie zatem nierówności jest źle przyjmowane przez część społeczeństwa i wyrażicielami ich opinii są zapewne autorzy omawianego dokumentu. Jeżeli jednak walczymy z komunizmem to nie możemy jednocześnie

dążyć do komunistycznego podziału dochodów. Społeczeństwo łatwo przyzwyczaja się do pewnych schematów. Nikogo dziś nie szokuje inżynier czy lekarz zarabiający połowę średniej płacy miesięcznej. Szokujące natomiast byłyby zarobki tych grup społecznych dziesięćrotnie wyższe od średniej. A przecież w zdrowym społeczeństwie powinna występować raczej ta druga relacja. Można się pocieszyć tylko tym, że społeczeństwo łatwo także odwyka od pewnych schematów. Skoro po wojnie dość szybko zaakceptowało nowe struktury społeczne, to nie sądzę, by zaadoptowanie go do nowej /a w zasadzie bardzo starej/ sytuacji trwało długo.

Charakter trudności gospodarczych, jakie przeżywa Polska jest dość dobrze znany. Co więcej, podobne trudności występują we wszystkich krajach komunistycznych /postkomunistycznych?/. Trudności tych nie da się rozwiązać w ramach starego systemu. Jedyne wyjście jest zatem zmiana systemu gospodarczego. To prawda, że ekipy rządzące Polską od 10 lat obrzydliły wszystkim słowo "reforma". Ich reforma była i jest wprowadzana bardzo niekonsekwentnie. Establishment komunistyczny rozumie, że prawdziwa przemiana gospodarcza—to znaczy rozwój w Polsce kapitalizmu, spowoduje co najmniej częściową utratę przez komunistów władzy. Niemniej te niekonsekwentne reformy postępują. W ostatnich miesiącach uległy nawet przyspieszeniu. Tymczasem lewacy z "Solidarności" nie godzą się na kapitalizm w Polsce, protestują przeciwko rosnącym nierównościom, nieuchronnym w okresie przemian od gospodarki kolektywnej do rynkowej, a z drugiej strony żądają wyjścia z kryzysu, zahamowania wzrostu cen, rozwiązania różnych społecznych bolączek, u podłoża których leży kiepski stan gospodarki. Tego typu poglądy są zatem ogromnie niekonsekwentne. Ich pozytywne spełnienie oznaczać będzie bowiem powrót do czystego komunizmu. W przypadku całkowitej centralizacji gospodarczych decyzji możliwe byłoby zapewnienie równości, o którą tak chodzi związkowcom oraz zahamowanie inflacji. Ale wtedy zahamowane zostałyby wszelkie społeczne i polityczne przemiany, a Polska zostałaby cofnięta cywilizacyjnie o 30 lat.

Ludzie o poglądach prawicowych rozumieją zwykle, że w społeczeństwie nie ma rozwiązań idealnych, że możliwe warianty są pod niektórymi względami lepsze, a pod innymi gorsze. Wariant rozwoju kapitalizmu w Polsce zawiera szereg społecznych niedogodności. Lewica poszukuje raczej rozwiązań, które według niej, są dobre pod każdym względem. Dlatego odrzuca niedoskonały, zacofany i niesprawiedliwy kapitalizm, który wyłania się z rozpadającego się komunizmu. Nie zdaje sobie jednak sprawy z tego, że rozwiązania idealne nie istnieją. Historia komunizmu jest tego najlepszym przykładem.

Janusz NOWICKI

Z JERZYM KROPIWNICKIM ROZMAWIA WITOLD GADOMSKI

- Czy uważa się Pan za działacza "Solidarności"?
- Tak.
- Jaka jest Pana pozycja w Związku?
- W roku 1981 zostałem wybrany wiceprzewodniczącym Zarządu Regionalnego w Łodzi. Na I Zjeździe w Gdańsku wszedłem w skład Komisji Krajowej związku i od tego czasu nic się nie zmieniło. W roku 1984 wyszedłem z więzienia w związku z amnestią. Miałem wyrok 6 lat za kontynuowanie działalności związkowej w warunkach stanu wojennego oraz za zorganizowanie i kierowanie akcją protestacyjną i za wezwanie do strajku generalnego na terenie regionu. Wszystko to zdążyłem zrobić z Andrzejem Słowikiem przez kilka godzin 13 grudnia 1981 roku.
- Nieźle tempo !
- Wypuściliśmy na miasto 50 tysięcy ulotek. W godzinach południowych już siedziałem, kilka dni później rozpoczął się proces. Dostałem najpierw 4 i pół roku, a Sąd Najwyższy podwyższył wyrok do 6 lat.
- Kształt "Solidarności", jako jedynego związku zawodowego /związki tzw. a'onomiczne były o wiele mniejsze i praktycznie bez znaczenia politycznego/ został przesądzony we wrześniu 1980 roku. Jednakże tuż po zakończeniu strajków sierpniowych przyszłość niezależnych ruchów w Polsce wcale nie była określona. Jacek Kuroń lansował koncepcję rad robotniczych na wzór tych z roku 1956. Nie było wcale pewne, czy tworzące się wolne związki zawodowe połączą się w jeden ruch. Czy uważa Pan, że to, co zostało rozstrzygnięte we wrześniu 1980 roku, a później w listopadzie w czasie walki o rejestrację było najlepszym z możliwych rozwiązań?
- Skoro "Solidarność" powstała, to chyba było zapotrzebowanie właśnie na taką organizację. Sprawa reprezentacji pracowniczej nie została wymyślona przez garstkę intelektualistów - polityków, lecz była autentyczną potrzebą pracowników. Oficjalne CRZZ-owskie związki zawodowe nie spełniały tej roli, więc robotnicy upomnieli się o swój własny związek. Symboliczny wymiar miała w Stoczni Gdańskiej przekreślona tablica z napisem - Rada Zakładowa. Nie przekreślono innej tablicy, tylko właśnie tę. Natomiast inną jest sprawą, czy w "Solidarności" powinny znaleźć się wszystkie nurty opozycyjne. Moim zdaniem ugrupowania polityczne powinny pozostawać poza Związkiem. Nie było też potrzeby wtłaczania każdej niezależnej działalności w ramy Związku. Jeżeli Jacek chciał rad robotniczych, to powinien był je wtedy tworzyć, a nie przyłączać się do związku zawodowego, którego nie chciał. W każdym razie - jeśli w ówczesnej sytuacji politycznej nie było miejsca na inne instytucje niezależne, to obecnie sytuacja się zmienia i takie miejsce na samodzielną działalność poza Związkiem można sobie znaleźć.
- Autentyczność zapotrzebowania na związek zawodowy i to z "solidarnością" w tytule została udowodniona także podczas strajków tegorocznych. Można powiedzieć to w ten sposób: skoro jakaś grupa ludzi pragnie takiego związku, nie wnikam, czy kilka milionów, czy kilkunastu ludzi, to mają naturalne prawo związek taki utworzyć.
- "Solidarność" była odpowiedzią na monopol państwa w gospodarce, stanowiła siłę przeciwważną dla monopolistycznego pracodawcy. Dziś jednak najważniejszą sprawą jest pluralizacja, a właściwie reprivatyzacja gospodarki. Postulatu tego nie formułowano 8 lat temu. Czy wobec tego będzie miał rację bytu jeden wielki związek zawodowy. W sektorze prywatnym związki zawodowe praktycznie nie istnieją i chyba nie ma na nie zapotrzebowania.
- To rozumowanie budzi we mnie aż dwie wątpliwości. Pierwszą, kiedy próbujemy dyskutować o procesach i aspiracjach społecznych z pozycji Pana Boga. Kiedy mówimy o czymś, na co wpływ jest praktycznie niewielki. Powtarzam, istnieje autentyczne zapotrzebowanie, autentyczne aspiracje, pojawiające się w protestach robotniczych i trudno o tym dyskutować. Tak woła lud i ma do tego prawo. Inna rzecz, czy "Solidarność" będzie równie liczebna jak kiedyś?

Bardzo w to wątpię. Sądzę, że poza związkami znajdują się ugrupowania polityczne, ruchy społeczne, związki twórcze. Liberalizacja ustawy o stowarzyszeniach przyczyni się do procesu usamodzielniania się grup, które szukały schronienia w ramach związku. Jeżeli natomiast idzie o pluralizację gospodarki, to dla mnie logika rozumowania wydaje się odwrotna niż w Pana wypowiedzi. Wielki związek zawodowy dlatego ściera się z państwem, w sferze socjalno-bytowej, w sferze płac itd., że jest ono jedynym dysponentem środków materialnych. Nawet dzisiaj, w gospodarce już nieco zdecentralizowanej, robotnicy nie wierzą, że ich jedynym partnerem jest zakład pracy. I mają rację, że nie wierzą, bo decyzje nie zapadają w zakładzie, ale wyżej. Jeżeli będą one zapadały rzeczywiście w zakładzie, to zmieni się partner związku zawodowego i jego logika działania. Państwo będzie decydować tylko o minimum płacowym, które trzeba będzie rozszerzyć na wszystkie sektory i oczywiście, o polityce socjalnej.

- Jakie są zadania niezależnego związku zawodowego w upaństwowionej gospodarce? Sam Pan powiedział, że przedsiębiorstwo nie jest autonomiczne, a więc nie jest właściwym partnerem dla związku zawodowego. "Solidarność" nie naciska na prywatyzację gospodarki. Mówi co prawda o reformie, ale niezbyt radykalnie.
- Nie jest to zadaniem związku zawodowego - bardziej kompetentne w tej sprawie jest np. Towarzystwo Gospodarcze w Warszawie i ono powinno być głównym partnerem władz w tej kwestii - a "Solidarność" ewentualnie gwarantem ustaleń. Rolą związku zawodowego jest reprezentowanie pracowników wobec pracodawcy. Jeżeli tym rzeczywistym pracodawcą jest państwo, to żądania związku muszą być skierowane do niego. Liczba związków zawodowych nie ma tu nic do rzeczy. Czy będzie jeden związek zawodowy, czy dwa, czy sto dwadzieścia, to w tym względzie nic się nie zmieni. Między państwem a tymi związkami będzie istniał konflikt. Związki będą cisnąć na państwo - pracodawcę.
- Ten nacisk nie jest jednak równomierny. Jest większy w dużych zakładach, często mało rentownych, a mniejszy w małych, w usługach, w sferze budżetowej. To powoduje zniekształcenie struktury wynagrodzeń i umacnia przestarzałe gałęzie.
- Proces rewindykacyjny istniał przez cały okres 40-lecia PRL. Duże zakłady zawsze były silniejsze, niezależnie od działania związków zawodowych. Gdyby Pan potrafił udowodnić, że mechanizmy nacisku wielkich i nieefektywnych przedsiębiorstw w latach 1980-1981 uległy zintensyfikowaniu, to racja byłaby po Pana stronie. Ale tak nie było. Duże zakłady wśród swoich postulatów miały między innymi podwyższenie płac nauczycielom, służbie zdrowia.
- Ja nie bardzo w to wierzę. Moim zdaniem, to były tylko takie listki figowe na sumienie strajkujących. Tak naprawdę, to przecież z tych solidarnościowych postulatów rezygnowano najszybciej, gdy tylko udało się załatwić własne postulaty materialne.
- To prawda, ale trzeba pamiętać też to, że łódzki przemysł włókienniczy po raz pierwszy w historii powojennej dorównał poziomem płac do średniej krajowej na początku lat 80-tych. Wynikało to z tego, że gdy KKP w listopadzie 1981 roku ogłosiła, że postulaty płacowe zostają zawieszane, to uczyniła w tym względzie kilka wyjątków, opierając się na kryterium sprawiedliwości społecznej. I między innymi włókniarze uzyskali więcej niż inni.
- Czy spory, jakie toczą ze sobą dziś działacze "Solidarności" nie nastrajają Pana pesymistycznie do przyszłości Związku. Czasami mam wrażenie, że działacze niczego się przez tych 7 lat nie nauczyli.
- Nie wiem, czy Pana pytanie jest dobrze postawione. Inny jest dziś charakter sporów, niż było to w latach 1980-1981. Rzecz polega na tym, że dziś prawie wszystkie nurty polityczne, które kiedyś artykułowały się poprzez "Solidarność" wypowiadają się i działają na zewnątrz Związku, choćby KPN czy Ruch Młodej Polski. Powstają załogi ugrupowań liberalnych, narodowych, chrześcijańskich, które to nurty objawiły swoją obecność podczas I Zjazdu NSZZ "Solidarność" na jesieni 1981 roku. Zwolennicy tych nurtów są oczywiście w "Solidarności",

ale nie tam artykułują się politycznie.

- Nie dotyczy to jednak lewicy. Jest ona wciąż mocno osadzona wewnątrz związku, a wobec odejścia innych nurtów jeszcze wzmocniła swoją pozycję.
- Tak, to prawda. Patrzyłem z pewną nadzieją na odtworzenie PPS, mając nadzieję, że lewicowi politycy tu znajdują dla siebie pole działania, pozostawiając "Solidarność" działaczom związkowym. Stało się inaczej. Związek zawodowy musi się oczywiście interesować sposobem sprawowania władzy w państwie i kwestiami ogólnospołecznymi. Wynika to choćby z encykliki "Laborem exercens". Ale związek zawodowy nie powinien ubiegać się o sprawowanie władzy, bo wtedy zatracą swą misję. Z tego względu z pewnym niepokojem patrzę na to, co się dzieje wśród niektórych działaczy i tzw. doradców Związku. Pozostaje on wciąż atrakcyjnym polem dla różnych kierunków lewicowych. Uważny czytelnik "Krajobrazu po bitwie" Kuronia wydanym rok temu, czy artykułu Andrzeja Celińskiego w "NEWSWEEK"u" z 23 listopada ubiegłego roku znajdzie stwierdzenia, w których ci dwaj politycy zaprzeczają przyszłości "Solidarności" jako związku zawodowego i widzą przyszłość w ewolucji w kierunku partii politycznej. Z tym ja się absolutnie zgodzić nie mogę. Podobnie jak ja myślą inni działacze, skupieni w tak zwanej "Grupie Roboczej" Komisji Krajowej. Grupa ta przez długi czas była jedyną formacją, która konsekwentnie interesowała się problematyką bytową ludzi pracy. Dysponuje przy tym unikalnym zapleczem w postaci Ośrodka Badań Społeczno-Zawodowych.
- "Solidarność" została zaskoczona decyzją o likwidacji Stoczni Gdańskiej. Czy nie można było się podobnych decyzji spodziewać? Dlaczego Związek nie potrafił znaleźć w tej sytuacji właściwej odpowiedzi?
- No cóż, w otoczeniu Lecha Wałęsy są doradcy, także ekonomiści i oni powinni byli doradzić właściwe posunięcie. Gdybym ja był na ich miejscu, zaleciłbym po prostu przejęcie zarządu przez Radę Pracowniczą, wypuszczenie obligacji złotówkowych i dolarowych, zatrudnienie menedżera z prawdziwego zdarzenia, być może z zagranicy. Władze tłumaczą zamknięcie Stoczni wymogami reformy. Nie ma sensu reformie się przeciwstawiać, ale wprost przeciwnie, należy ją radykalizować. Przejęcie przez załogę Stoczni byłoby właśnie krokiem w tym kierunku.
- Część z działaczy "Grupy Roboczej" ma opinię radykałów, w odróżnieniu od działaczy skupionych w KKW.
- Jest to fałszywa optyka. To co łączy działaczy "Grupy Roboczej", to nie radykalizm w sensie politycznym lecz, być może, radykalizm w sensie związkowym. Radykalne domaganie się działalności "Solidarności" jako związku, a nie partii i stanie na gruncie związkowego legalizmu. Między innymi nieuznawanie różnych ciał pozastatutowych za władzę związkową. Chciałbym zwrócić uwagę na jedną rzecz. Wpływy doradców, pozostających w kręgu lewicy są możliwe dlatego, że Związek jest zablokowany, nie istnieje możliwość weryfikacji działaczy przez demokratyczny mechanizm.
- W latach 1980-1981 Związek mógł działać jawnie i legalnie, a mechanizmy demokratyczne wcale sprawnie nie działały.
- To zależy od tego, jakimi miarami to mierzyć. Jak na polskie warunki umiejętność korzystania z procedur demokratycznych była zaskakująco duża. Zresztą, zarzucano nam to, oskarżając o anarchię.
- Skoro w Związku istnieje w dalszym ciągu kilka nurtów, to czy nie byłoby celowe, gdyby rozdzielił się on przynajmniej na dwie części - lewicową i chrześcijańską. Co Pan sądzi na przykład o idei utworzenia chrześcijańskich związków zawodowych? Przed kilku laty mówiło się o tym, że mają one większą szansę na rejestrację niż "Solidarność". Teraz jakby o tym zapomniano, ale na dłuższą metę, czy powstanie związków o sprecyzowanej chrześcijańskiej opcji nie byłoby bardziej celowe niż wieloideowej "Solidarności"?
- A dlaczego właśnie zwolennicy chrześcijańskiej myśli społecznej, do których ja sam należę, mieliby się ewakuować z "Solidarności"? Dlaczego mieliby oddawać

- ten Związek innemu silnemu, ale jednak mniej licznemu, co dowiodły wyniki głosowań, nurtowi? "Solidarność" była przez większość robotników traktowana jako związek "ześcijski". Z tym nurtem związane były wszystkie symbole Związku, od nazwy począwszy, do krzyży na bramie Stoczni, Mszy odprawianych podczas strajku. To, że akurat największy wpływ na decyzję uzyskali doradcy reprezentujący różne nurty myślenia lewicowego - socjalistycznego, socjal-demokratycznego, eurokomunistycznego, nie jest wystarczającym uzasadnieniem dla takiego kroku. Czy oddałby Pan te symbole, historię "Solidarności" tym ludziom, dla których te symbole nie mają większego znaczenia?
- Tak, oddałbym tę całą symbolikę za dobrze zorganizowany, poważny i odpowiedzialny związek zawodowy.
 - Komu by Pan oddał?
 - Wszystko jedno!
 - Tak? A ja nie! Dla mnie jest to rzecz bardzo ważna. Pan mówi, że oddałby Pan każdemu, kto by chciał wziąć. I cóż, za kilka lat okazałoby się, że ci ludzie, którzy dostali te symbole na własność, a związani są z lewicą, symbole te by sprofanowali. Powiedzieliby - musieliśmy pociągnąć naszą czerwień żółtą farbą dla kamuflażu. Msze były tylko zabiegiem socjotechnicznym, ale tak naprawdę, to Sierpień '80 był dziełem lewicy. Dla świata wydarzenie sierpniowe dlatego były takim fenomenem, że nie wiązały się z lewicową symboliką lecz z religijną, chrześcijańską, demokratyczną, a także narodową, co w Polsce jest oczywiste. Był to dla reszty świata fenomen świadczący o tym, że ruch robotniczy i Kościół, po wielu latach obcości, znalazły wspólną drogę. Do tego momentu odnosi się duża część ogólnospołecznego nauczania Jana Pawła II. A Pan mówi, że tę symbolikę by Pan oddał! Przecież wtedy okazałoby się, że to nauczanie Papieża zawisiłoby w próżni. Że nie było żadnej chrześcijańskiej solidarności między ludźmi pracy, była tylko manipulacja.
 - Jest Pan autorem głośnego ostatnio artykułu "Nowe pokolenie". Czy dla pokolenia opisywanego przez Pana symbole "Solidarności" są równie bliskie, co dla działaczy pokolenia '80?
 - Tak. Wszystkie badania socjologiczne dowodzą, że pokolenie to uznaje dwa autorytety: personalny Jana Pawła II i instytucjonalny Kościoła. Także to pokolenie sformułowało hasło "nie ma wolności bez "Solidarności". "Solidarność" jest dla nich pewną legendą. Znają ją głównie z opowiadań starszych kolegów. Obserwowali jej działalność konspiracyjną. To pokolenie jest pewną zagadką i stanowi potencjalnie materiał bardzo wybuchowy. Jeśli się nic nie zmieni, zetknie się ono z sytuacją gospodarczą, która będzie w rażącej sprzeczności z jego oczekiwaniami. Obciążona spłatami długów gospodarka nie będzie w stanie ani tworzyć atrakcyjnych miejsc pracy, sprowdzać i rozwijać nowych technologii, ani nawet zahamować procesu uekapitalizacji. Dramat będzie narastał i dotyczył będzie najbardziej podstawowych rzeczy. Dziś na mieszkanie czeka się kilkanaście i więcej lat. Kto z młodych ludzi zechce czekać lat dwadzieścia? Sytuację dodatkowo dramatyzuje fakt, że w wiek dojrzały zaczynają wchodzić roczniki kolejnego baby-boomu. W tym roku 18 rok życia ukończyło pół miliona Polaków. W roku 1994 będzie w Polsce 4 miliony ludzi w wieku 18-24 lata - będzie to ponad 20% dorosłego społeczeństwa. Mają oni rozbudzone aspiracje konsumpcyjne, zapatrzeni są w model konsumpcji istniejących w rozwiniętych krajach zachodnich, wyrastali w atmosferze buntu i legendy podziemia. Nie mają oni tych psychicznych ograniczeń, co ludzie znający wojnę, czy lata stalinowskie. Proszę zauważyć, że poprzednie społeczne bunty - w 1968 roku, w roku 1970 organizowali ludzie młodzi z pokolenia wyżu powojennego. To pokolenie stanowiło też grupę przywódczą w "Solidarności". Było ono na pewno bardziej umiarkowane od tego, które właśnie wchodzi w wiek dojrzały. Znało, choćby z domowej atmosfery, realia lat stalinowskich, w swych intelektualnych poszukiwaniach zaczynało zwykle od myśli lewicowej, marksistowskiej. To nowe pokolenie jest o wiele groźniejsze i dla władz i dla siebie samych.

- Czy uważa Pan, że "Solidarność" mogłaby działać na tych młodych ludzi moderująco?
- W jakimś stopniu tak. Falę strajków w sierpniu udało się ugasić między innymi dzięki interwencji "starych" działaczy "Solidarności". Nie przeceniałbym jednak tej roli na przyszłość, jeśli sytuacja gospodarcza nie poprawi się szybko i jeśli to młode pokolenie nie odczuje, że jego aspiracje będą w krótkim czasie zaspokojone. A dla wszystkich razem - i tych "starych" i tych młodych, dla "polityków" i "związkowców" - stosunek władz do NSZZ "S" jest i pozostanie kryterium oceny rzeczywistych intencji władz w kwestiach demokracji i pluralizmu społecznego.
- Dziękuję za rozmowę.

*
tekst zdjęty przez cenzurę z "ŁADU".

O JEDNOCI Z KULTURĄ EUROPEJSKĄ, POLSCE,
BLISKIM WSCHODZIE, AMERYCE Z PROFESOREM
JERZYM LENCZOWSKIM, DYPLOMATĄ
RZECZPOSPOLITEJ *

ROZMOWA AUTORYZOWANA

MJCH - Panie Profesorze, jest Pan warszawianinem...

JL - Tak. Mieszkam w Warszawie - kolonia Lubeckiego, na ulicy Reya - po drodze na lotnisko. W Warszawie też ukończyłem Uniwersytet. Studiowałem na wydziale prawa od 1932 do 1936 roku. Studia prawnicze w owym czasie obejmowały nie tylko naukę prawa właściwego ale również ekonomię i historię teorii politycznej.

MJCH - Jakie wykłady wbiły się Panu Profesorowi szczególnie w pamięć?

JL - Największe, niezapomniane wrażenie wywarł na mnie Profesor Eugeniusz Jarra, który wykładał filozofię prawa. Był on wspaniałym oratorem, a jego wykłady musiały odbywać się w kinie przy kościele Sw. Anny - przychodziło zawsze ponad 2 tysiące studentów - ponieważ nawet aula uniwersytecka nie mogła pomieścić wszystkich chętnych. Wspominam mile również historię prawa w Polsce od średniowiecza, którą studiowałem pod kierunkiem Profesora Rafacza. Fascynujące wykłady. Profesor Koschemba Lyskowski, bardzo srogi pedagog, uczył mnie prawa rzymskiego. Wykłady owe dawały mi poczucie jedności kultury polskiej z zachodnioeuropejską. Studenci prawa z całej Europy rozumieli się doskonale dzięki właśnie prawu rzymskiemu. Wiele kodeksów prawnych było na nim opartych. Nawet jak się rozmawiało z Anglikiem, w którego kraju obowiązuje przecież prawo obyczajowe, a nie rzymskie, to gdy mu się powiedziało np.: "Nemo plus iuris ad alium transferre potest quam ipse habet", co można przetłumaczyć jako: "Nie mogę przelać więcej uprawnień na nikogo niż ja sam posiadam", to rozumiał. Europejczycy-studenci operowali swobodnie terminologią łacińską. W ten sposób miało się poczucie jedności kulturalnej. Dlatego też, nic z Rosją wspólnego nie czułem. Nigdy mnie nie ciągnęło do literatury, kultury moskiewskiej. Mimo tego, że miała ona malutką elitę kulturalną i paru wielkich pisarzy, muzyków i malarzy, uważałem Rosję za kraj zacofany i odmienny, bo nie miał on nic wspólnego z tradycją europejską. Polska natomiast ma wspólną z Europą Zachodnią kulturę, sztukę, religię, architekturę - wszystko oparte na bazie rzymskiej. Nota bene, jest ironią losu to, że studenci prawa w USA - i nie tylko oni - łacinę niestety znają słabo.

MJCH - Panie Profesorze, czy pańskie poczucie jedności europejskiej przejawiało się w Pana zainteresowaniach, czy też działalności?

JL - Tak. Naturalnie. Byłem członkiem powstałej w latach 30-tych organizacji pod nazwą Polski Akademicki Związek Zbliżenia Międzynarodowego - LIGA. Zarząd LIGI znajdował się w Warszawie, a filie w miastach uniwersyteckich. Organizacja ta cieszyła się poparciem Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Najpierw sprawowałem

w Lidzie funkcję przewodniczącego sekcji jugosłowiańskiej, następnie zostałem vice-prezesem oddziału warszawskiego, a na koniec byłem sekretarzem generalnym Zarządu Głównego. Gdy po uzyskaniu magisterium wyjechałem na studia doktoranckie do Francji, tam kontynuowałem swoją działalność jako delegat LIGI w tym kraju.

MJCH - Czy przypomina sobie Pan Profesor jakieś interesujące zdarzenie z okresu LIGOWEGO?

JL - Kilka. Na przykład, w lecie 1935 roku, czyli już po dojściu Hitlera do władzy, niemiecka organizacja studencka zaprosiła delegację LIGI do Rzeszy. Jako, że władałem już wtedy językiem niemieckim, zostałem rzecznikiem naszej grupy. Niemcy byli bardzo kordialni i gościnni. Prawili nam komplementy na temat naszej "piramidy demograficznej" - Polska przyżywała w owym czasie bardzo zdrowy rozwój demograficzny - jak również mówili wiele na temat konieczności współpracy polsko-niemieckiej. Apelowali, aby ratować wspólnie cywilizację europejską przed zalewem bolszewickim. Były to czasy po podpisaniu układu o nieagresji, więc Niemcy starali sobie przyhołubić Polskę. Jedynym zgrzytem w tej naszej wyprawie było to, że zobaczyliśmy, że w instytucjach niemieckich używano map z okresu zaborów, na których Poznańskie, Śląsk i Pomorze Gdańskie były w Niemczech. Oczywiście się na to obruszyliśmy i wytknęliśmy ten dualizm naszemu gospodarzom: z jednej strony chcą nam się przypodobać, a z drugiej uczą młodzież rewizjonizmu. Ogólnie rzecz biorąc, młodzi Niemcy byli uprzejmi - ciągnęli nas na piwo - a starzy podejrzliwi. Jeśli nie liczyć historii z mapami, to powierzchownie wyglądało wszystko na życzliwe przyjęcie naszej grupy.

MJCH - Może trzeba było razem z Niemcami bronić kultury europejskiej ...

JL - Kosztowałoby nas to przynajmniej Pomorze Gdańskie, jak również utratę suwerenności w polityce zagranicznej.

MJCH - Tak, ale uratowalibyśmy autonomię wewnętrzną, system wolnorynkowy i 6 milionów obywateli - w tym 3 mln. Żydów. Z państw sprzymierzonych z Rzeszą Żydów na zagładę nie wywożono. A poza tym Amerykanie by nas wkrótce podbili - to jest po zajęciu Berlina przez Armię Amerykańską sami byśmy się poddali i ukaranoby nas potem demokracją parlamentarną i Planem Marshall'a. Ale to jest gdybanie. Wspomniał Pan Profesor, że doktorat składał Pan we Francji...

JL - Właśnie. Studiowałem Prawo Międzynarodowe w Uniwersytecie Paryskim i Uniwersytecie w Lille. Studiowałem pod prof. Mazeaud i prof. Jean Pierre Niboyet, specjalistą światowej sławy od prawa międzynarodowego. Dostęp do tych pedagogów był niełatwy, ale miałem możliwość poznać się z nimi osobiście. Ponieważ Prof. Mazeaud wykładał na dwóch uniwersytetach, musiałem ścigać go do Lille i dzięki temu miałem możliwość ukończyć studia wcześniej. W grudniu 1937r. Uniwersytet w Lille nadał mi tytuł Doktora Praw. Moją pracę pisałem na temat kontraktów w prywatnym prawie międzynarodowym.

MJCH - Mówił Pan Profesor o tym, że był Pan delegatem LIGI na Francję.

JL - Tak. W tym charakterze miałem okazję reprezentować Polskę na Międzynarodowej Konferencji dla Badania Bezrobocia Młodej Intelligencji. Był to rok akademicki 1936/37. Konferencję otworzył minister edukacji Francji, Jean Zay, który zresztą wyróżnił się dezercją z armii w 1940 r. Całością opiekował się prof. Perrin. Oznajmił on na początek: "Witajcie we Francji. Jesteście elitą świata", co trochę mnie rozśmieszyło swoją pompatycznością. Zaprzyjaźniłem się tam z jednym Anglikiem, który nie rozumiał po francusku, w związku z czym musiałem tłumaczyć mu, co się dzieje. Poznałem też syna prezydenta ARPED CORP., najbogatszego człowieka Wielkiego Księstwa Luxemburg. Miał on nazwisko Kipgen. Spytałem go, czy Luxemburg ma kłopoty z bezrobociem. Odpowiedział: "Nie. Wszyscy są zatrudnieni, ale ponieważ ja studiuje w Paryżu, to kazano mi przyjść tutaj i reprezentować mój kraj".

MJCH - A po studiach, Panie Profesorze?

JL - Po studiach wstąpiłem do służby dyplomatycznej, to jest do służby zagranicznej Rzeczypospolitej. Stało się to 1 lutego 1938r. Chciałbym nadmienić, że już w lecie 1935r. odbyłem praktykę studencką Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Konsulacie Polskim w Essen-Ruhr w Niemczech. Byłem p.o. oficera prasowego.

MJCH - Jakie Pan Profesor miał obowiązki, a w ogóle czym zajmowali się pracownicy

O JEDNOŚCI Z KULTURĄ EUROPEJSKĄ, POLSCE, BLISKIM WSCHODZIE, AMERYCE
Z PROFESOREM JERZYM LENCZOWSKIM, DYPLOMATĄ RZECZPOSPOLITEJ

placówki konsularnej?

JL - Moim obowiązkiem m.in. było przygotowywanie raportów z prasy niemieckiej. Natomiast ogólnie - obowiązkiem polskiego konsulatu było reprezentowanie Państwa Polskiego oraz obrona praw obywateli polskich na obszarze pod jurysdykcją konsulatu. Wielu Polaków - chrześcijan pracowało w KRUPP-WERKE. W razie kłopotów trzeba się było nimi zająć. Konsulat zajmował się również obroną Żydów - obywateli polskich - atakowanych w tym okresie przez nazistowskie Sturm Abteilungen - SA. Konsulat stawał przed niemieckimi władzami i domagał się sprawiedliwości, czy odškodowań dla pokrzywdzonych.

MJCH - Tak było na praktykach studenckich, a gdzie pan Profesor pojechał jako pracownik państwowy?

JL - Chciano mnie wysłać do Francji, ale odmówiłem. Bardzo interesował mnie Bliski Wschód, dlatego udało mi się być posłanym do Palestyny. Był rok 1938 gdy zacząłem pracę w Konsulacie RP w Tel-Aviv. Tam też zapoznałem się z fenomenem syjonizmu. Rząd polski sprzyjał w owym czasie syjonistom, nawet, a może przede wszystkim, tym ekstremistycznym, wojowniczym Syjonistom-Rewizjonistom. Pamiętam jeszcze z Warszawy, jak ich przywódca Vladimir Żabotyński przemawiał przez Radio Polskie - udostępnione przez nasze władze. Brzmiał on jak natchniony prorok gdy wygłaszał przemówienie po hebrajsku.

MJCH - Wydaje mi się, że rząd polski nie tylko wspomagał Nową Organizację Syjonistyczną /Syjonistów-Rewizjonistów/ w sposób propagandowy. Były również przykłady współpracy militarnej. Młodzi bojownicy z Brith Trumpledor - BETAR - byli ćwiczeni pod Warszawą, przez polskich instruktorów wojskowych w oddziałach przysposobienia wojskowego, już na początku lat 30'tych. Działalność tę zawieszono, aby nie narażać się Brytyjczykom. Wiktor Tomir Drymmer, Dyrektor Departamentu Konsularnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP pisał, że bojownicy grup IRGUN i HAGANA byli szkoleni w andrychowskim i rembertowskim obozach wojskowych. Minister Józef Back autoryzował - jak twierdzi Trymmer - pożyczkę w sprzęcie wojskowym i w gotówce w wysokości 200 tys. zł. w maju 1939r. Odbiór pożyczki potwierdził Vladimir Zev-Zabotyński. Dziennikarz izraelski Leni Brenner napisał, że przywódca BETAR Menachem Begin i jego współpracownicy byli szkoleni pod Zakopanem przez Wojsko Polskie. Brenner wspominał również, że istniał polski plan dotyczący przetrzutu broni i amunicji przez Turcję dla potrzeb syjonistów w Palestynie. Czy w działalności takiej brał udział polski konsulat w Tel-Aviv?

JL - Na temat tego, co pan mówił o pomocy wojskowej nic nie wiem. Natomiast naturalnie, konsulat w nic takiego się nie angażował, gdyż byłoby to naruszeniem naszego statusu prawnego wobec władz angielskich. Obowiązkiem konsulatu w Tel-Aviv, jak również dwóch pozostałych polskich placówek konsularnych w Palestynie, było reprezentowanie i obrona interesów obywateli polskich, znajdujących się w Palestynie. Pracowałem z obywatelami polskimi narodowości żydowskiej. Wielu z nich chciało wracać do Polski, gdzie było im lepiej - a był to rok 1938. Nie podobał im się klimat Palestyny, deklasacja, bezrobocie. Inteligencja musiała pracować fizycznie, jako rzemieślnicy, szoferzy, kwiaciarki. Mój znajomy, inżynier Litwin, był kierowcą taksówki miejskiej. On zresztą do Polski wracać nie chciał, ale jak Armia Andersa przybyła do Palestyny, już w czasie wojny, to wstąpił do niej jako strzelec na ochotnika. Oprócz zajmowania się chętnymi do powrotu, pomagałem wielu w sprawach urzędowych, np. w przygotowaniu dokumentów do przeprowadzenia rozwodu, który był na wokandzie sądowej gdzieś w nowosądeckim, a strony zainteresowane były już w Palestynie. Zdarzało się też, że kupcy, handlowcy żydowscy mieli kłopoty z Brytyjczykami. Wtedy też interweniowałem.

MJCH - No właśnie. Jak to było z tymi Anglikami, Panie Profesorze - byli oni niechętni Żydom, nieprawda?

JL - Nie. Niech pan tak nie pisze. Wprost przeciwnie, to Anglicy ogłosili przecież Deklarację Balfoura w 1917r. o "Jewish National Home" - o ojczyźnie żydowskiej. To Anglia zobowiązała się ułatwić imigrację żydowską do Palestyny. Anglicy znajdowali się w niezwykle delikatnej sytuacji. Co prawda, mieli oni mandat

Ligi Narodów w Palestynie, ale na skutek protestów arabskich musieli obciążyć "kwotę" emigracyjną żydowską, tj. liczbę, której pozwalano corocznie na osiedlenie się w Palestynie. Arabowie ostro protestowali przeciwko napływowi Żydów. Jak ja przyjechałem do Palestyny, to rewolta arabska już wybuchła. Można było łatwo zginąć, bo w arabskich częściach Palestyny, Arabowie strzelali zza kaktusa do każdego, kto wyglądał na Żyda albo Anglika. Zanim bym im pokazał legitymację, to by zaszlachtowali. Czasami jeździłem do Jerozolimy - według mnie najpiękniejszego miasta Bliskiego Wschodu - w konwoju z eskortą samochodów pancernych. Od czasu do czasu przyczepialiśmy polską flagę do auta - nie strzelano do nas wtedy.

MJCH - Czyli Anglikom było trudno zrobić więcej dla Żydów, a Polacy robili co mogli?

JL - Tak. Rząd polski zachęcał emigrację żydowską i popierał handel z Palestyną. Chodziło o rynki zbytu.

MJCH - Czy przeniesiono Pana Profesora z Tel-Aviv gdzie indziej?

JL - Tak. Zostałem wezwany do Centrali, tj. do MSZ w Warszawie. Przybyłem do kraju pod koniec sierpnia 1939r. Dało mi to okazję odwiedzić moich rodziców w radomskim. Spędziłem tam dwa dni pośród lasów jodłowych - rzeczy, której mi najbardziej w Palestynie brakowało. Potem pojechałem do Warszawy. W pracy stawiłem się punktualnie rano 1 września 1939r. Od razu nas też zbombardowano, tak więc sporo czasu spędziliśmy w schronie. Potem Ministerstwo ewakuowano do Krzemieńca. W nocy z 15-ego na 16-ego przyszła wiadomość, że lada chwila mogą wkroczyć Sowieci. MSZ przeniosło się do Zaleszczyk. 17-ego września, na wieść o inwazji sowieckiej, przekroczyliśmy granicę polsko-rumuńską.

MJCH - Na tym skończyła się służba dyplomatyczna Pana Profesora?

JL - Na razie tak. Z Rumunii dotarłem na Bliski Wschód w 1940r. i wstąpiłem do Brygady Strzelców Karpackich pod gen. Kopańskim. Tutaj muszę zaznaczyć, że ze względu na słaby wzrok przed wojną w wojsku nie służyłem. Na Bliskim Wschodzie dostałem natychmiast kategorię A, ale służbę musiałem zacząć jako zwykły strzelec. Wkrótce pojechaliśmy do Tobruku. Brałem udział w jego obronie i w kampanii cyrenajskiej. Walczyliśmy przeciwko Włochom i Niemcom, którymi dowodził Erwin Rommel. W czasie kampanii wrześniowej w Polsce nie miałem okazji zobaczyć żadnego Niemca - oprócz bombardujących nas lotników. Traf chciał, że pierwszy Niemiec, jakiego zobaczyłem jako żołnierz Brygady, też był lotnikiem. Zestrzeliliśmy go podczas lotu zwiadowczego nad Libią. Przyleciał z Grecji, ale już nie wrócił do bazy. Potem widziałem obóz jeńców niemieckich, pilnowanych przez polską żandarmerię. Niemcy chodzili po obozie jak tygrysy w klatce, nachmurzeni i wrodzy, przygnębieni, że byli jeńcami Polaków. Natomiast Włosi, których złapaliśmy, byli szczęśliwi: zgłaszali się do pracy na ochotnika, śpiewali radośnie dla nas.

MJCH - Czy pamięta Pan Profesor jakieś charakterystyczne postacie z tego okresu?

JL - Oczywiście. Przełożonym moim był chorąży Horzinek, jeszcze z armii cesarsko-królewskiej. Była to jego piąta wojna: dwie bałkańskie, Wielka Wojna, wojna bolszewicka, no i II światowa. Znał wspaniałe języki niemiecki i obsztorcowywał często jeńców. Bali się go jak ognia. Mimo, że ja byłem zwykłym strzelcem, on mnie nazywał czule: "Doktorku". Bardzo poczytywał człowieka. Oprócz tego poznałem się ze Zbigniewem Okulickim, był ze mną rekrutem w Egipcie i doskonale grał w football. Dzięki niemu poznałem jego ojca płk. Leopolda Okulickiego, późniejszego "Niedźwiadka". Zbigniew zginął we Włoszech.

MJCH - Co się stało po wyprawie do Libii?

JL - Brygada została przeniesiona najpierw do Egiptu, potem do Palestyny. W Aleksandrii i Gazie odbyłem przeszkolenie w szkole podchorążych. W Palestynie też spotkałem pierwszych ludzi z Armii Andersa. Nasze obozy sąsiadowały. My mieliśmy pobudkę o 6.00, a tych z Rosji budzono o 5.30. Dźwięki ich trąbki pobudkowej zrywały też nas. Najbardziej jednak narzekaliśmy na to, że tamci co rano śpiewy sobie urządzały: hymny religijne i patriotyczne. A nam się chciało spać. Co nie znaczy, że my nie byliśmy patriotyczni albo religijni. Nie czuliśmy po prostu potrzeby tak wyraźnej i częstej manifestacji naszych uczuć. Oni jednak

O JEDNOŚCI Z KULTURĄ EUROPEJSKĄ, POLSCE, BLISKIM WSCHODZIE, AMERYCE
Z PROFESOREM JERZYM LENCZOWSKIM, DYPLOMATĄ RZECZPOSPOLITEJ.

- po tym co przeszli w Rosji mieli zupełnie inną mentalność.

MJCH - Był to rok 1942?

JL - Tak. Nasza Brygada została włączona do Armii Andersa jako Dywizja Karpacka złożona z trzech brygad. Wkrótce wysłano nas do północnego Iraku. W drodze było mi bardzo wygodnie jako, że jechałem w samochodzie z p.o. szefa sztabu. Potrzebował mnie, bo mówiłem po angielsku - czytałem mu mapę. Za nami posuwało się z 500 ciężarówek naszej brygady. Wojsko Polskie przenosiło się do Iraku dlatego, że Niemcy zbliżali się do Kaukazu i istniała obawa, że przebiją się na południe. Armia nasza miała za zadanie bronić drogi do Zatoki Perskiej, do nafty Niemcy się nie przebili i czasami było mi nudno - uczyłem się włoskiego. Ale do Włoch z Armią już nie trafiłem.

MJCH - Znów Pan Profesor został dyplomata?

JL - MSZ z Londynu wyreklamowało mnie z wojska. Zostałem mianowany attache prasowym w Poselstwie Rzeczpospolitej w Teheranie pod koniec 1942r. Resztę wojny spędziłem w służbie dyplomatycznej.

MJCH - Czyli Pan Profesor był naocznym świadkiem konferencji Wielkiej Trójki w Teheranie...

JL - Niezupełnie. Nie było po prostu dostępu do czołowych mężów stanu mocarstw alianckich. Chodziły tylko plotki dyplomatyczne. Ale było przecucie, że coś złego się dzieje ze sprawą polską. Po konferencji ambasador brytyjski powiedział posłowi polskiemu: "Wie pan, bardzo wam zaszkodził Związek Patriotów Polskich z Wandą Wasilewską".

MJCH - Bardziej nam zaszkodziła naiwność Roosevelt'a... Jak wyglądała pańska praca w Teheranie?

JL - W Teheranie przede wszystkim broniliśmy interesów polskich. Propaganda Stalina nie tylko umniejszała, ale po prostu niwelowała zasługi polskie w walce z Niemcami. Wyglądało na to, że tylko Sowietci walczą z Hitlerem. Sowieciarze, jak ich ochrzciliśmy w poselstwie, znajdowali się na bardzo silnej pozycji w Iranie. Ich wojska zajęły północną część kraju i mieli nawet oni swój garnizon w Teheranie. Przez Teheran wiodła jedyna droga do Kujbyszewa - siedziby rządu sowieckiego. W związku z tym przez stolicę Iranu przewijało się mnóstwo polityków i dyptomatów. Np. w lipcu 1944r. przejeżdżał przez Teheran Stanisław Mikołajczyk. Potem, na Kremlu, prosił Stalina o pomoc dla Powstania Warszawskiego. A propos Powstania - na jego skutek zginęli moi rodzice, wywiezieni przez Niemców do obozów koncentracyjnych. Wracając do Teheranu, jak już mówiłem był on punktem przelotowym dla wielu wpływowych osobistości jak i dla korespondentów zagranicznych. Jako szef informacji w Poselstwie Rzeczpospolitej utrzymywałem kontakt właśnie z nimi jak również z dziennikarzami irańskimi. Dostarczałem im między innymi materiały na temat zasług Polaków na frontach II Wojny Światowej.

MJCH - Działalność pańska kontrowała więc sowiecką robotę dezinformacyjną. Wkrótce przyszła Jałta...

JL - Miałem źle przeczucia dlatego, że zachodnie "appeasement"- ugiaskiwanie - Rosji, było widoczne na każdym kroku. Gdy ogłoszono komunikat końcowy Jałty, wiedziałem, że Polska została sprzedana. Zdawałem sobie sprawę z tego, że do kraju już nie będę wracał. Wkrótce potem Amerykanie urządzili przyjęcie u siebie w ambasadzie. Zastępca ambasadora amerykańskiego powiedział mi wtedy, że bym przyjechał do Stanów uczyć, bo do Polski przecież nie wrócę. Ale dopiero około pół roku później, po odebraniu nam statusu dyplomatycznego - Irańczycy uznawali nas dłużej niż Anglicy - wyemigrowałem do Ameryki i zacząłem uczyć.

MJCH - W USA Pan Profesor nie musiał nostryfikować swojego dyplomu?

JL - Nie. Odrazu zacząłem pracę na uczelni. Najpierw w School of Advanced International Studies w Washington D.C., potem w Hamilton College w New York, a od 1952 do 1987 wykładałem na University of California w Berkeley. Byłem tam vice-przewodniczącym departamentu nauk politycznych. Na początku mojej kariery prowadziłem różne kursy - na temat Rosji, Polski. Potem skupiłem się na mej specjalizacji - na sprawach blisko-wschodnich. Byłem jednym z pionierów w USA w dziedzinie Iranu, szczególnie w sowieckim aspekcie tego zagadnienia.

MJCH - A dlaczego Pan Profesor nie pozostał bezpośrednio przy sprawach polskich, czy przy sowietologii?

JL - Otóż na Polaka zajmującego się tymi dziedzinami patrzy się krzywo, z podejrzliwością. Jest on przecież uprzedzony w stosunku do "miłującej pokój ojczyzny światowego proletariatu". Było mi by bardzo ciężko udawać i być delikatnym i niejednoznacznym w ocenie Związku Sowieckiego. W amerykańskiej nauce istnieje zasada dawania każdemu "the benefit of the doubt", czyli "przywileju wątpliwości". Mówi się więc: "Może jednak tak źle nie jest". Prawdopodobnie tak się jednak nie stało". Ja bym nie potrafił robić takich uników, tak udawać, gdy wiem, że państwo sowieckie jest totalitarne, do czego sporo tutejszych sowietologów ma poważne wątpliwości.

MJCH - Jest to wynikiem w pierwszym rzędzie tego, że "an undocumented lie cannot be successfully challenged", czyli, że kłamstwo niepoparte dokumentami nie może być z powodzeniem kwestionowane. A dokumenty mają Sowieci. W ten sposób sowietologia została otwarta do całego szeregu interpretacji i manipulacji. Wielu "specjalistów" używa tego pola do głoszenia swoich preferencji ideologicznych. Wiadomo, że każdy prawie uczoney zajmuje się pewnym polem, bo je lubi. W historii nowoczesnej istnieje dodatkowo element terażniejszości i preferencji systemowych. Słyszałem, że w departamentach sinologii w uniwersytetach amerykańskich w latach 60-tych przeważali maoiści - zarówno pośród instruktorów jak i studentów. Studiowali oni sinologię, bo było to związane z ich zainteresowaniami politycznymi. Podobnie jest z sowietologią i naturalnie strona "anty" jest w mniejszości.

Panie Profesorze, jaki - Pan myśli - jest stosunek uczonych-politologów zajmujących się naszą częścią świata do Polski?

JL - W latach 40-tych i 50-tych większość cieszyła się, że nareszcie w Polsce nastąpiła demokracja, bo przed wojną, jak oni mówili, to mieliśmy rzekomo faszyzm. Teraz jest trochę lepiej, szczególnie po powstaniu "Solidarności". Dla niektórych jednak ruch solidarnościowy jest spełnieniem się przepowiedni Trockiego o światowej rewolucji, dla innych nieprzyjemnością, jako że Polacy zagrażają odprężeniu. Mamy tutaj też trochę przyjaciół, którzy są prawidłowo ustosunkowani do sprawy polskiej. Na uczelniach jednak historia Polski traktowana jest per noga, czyli właściwie jej nie ma. Polska jest traktowana jako część imperium rosyjskiego albo austro-węgierskiego.

MJCH - Dziękuję bardzo Panu Profesorowi za rozmowę.

Berkeley, Kalifornia, 7 listopad 1988

Profesor Jerzy Lenczewski specjalizuje się w problemach Bliskiego i Środkowego Wschodu. Opublikował 6 prac książkowych samodzielnie i 4 prace zbiorowe, jak również liczne artykuły w prasie fachowej. Mimo przejścia na emeryturę wciąż jest zapraszany do wygłaszania wykładów i prelekcji w licznych ośrodkach naukowych USA. Włada łącznie, angielskim, francuskim, niemieckim, arabskim. W roku 1988 ukazała się praca zbiorowa: *Ideology and Power in the Middle East: Studies in honor of Jerzy Lenczewski*. /"IDEOLOGIA I SIŁA NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE: STUDIJA NA CZĘŚĆ JERZEGO LENCZOWSKIEGO"/ /Duke University Press/. Z 20 autorów tego tomu 7 jest jego byłymi studentami. Wszyscy są wykładowcami na uczelniach USA.

*Dziękujemy redakcji "SAMOSTANOWIENIA" za udostępnienie tekstu rozmowy.

Zachodni Europejczycy mają bardzo krótką pamięć. Od zakończenia drugiej wojny światowej wymyślają hasła dotyczące międzynarodowych stosunków, hasła propagandowo brzmiące bardzo pięknie. Po pewnym czasie Zachodni Europejczycy zaczynają naprawdę wierzyć w to co głoszą i są wielce rozczarowani jeżeli kolejne zakrety polityczne uniemożliwiają wcielanie ich marzeń w życie.

Europa od Atlantyku po Ural – hasło, polityczny slogan prezydenta Francji z lat sześćdziesiątych, robi ostatnio wielką karierę po obu stronach europejskiej kurtyny. Wystarczyło dwa lata tzw. odprężenia w stosunkach politycznych Wschód-Zachód, aby znów mówić – zresztą bardzo przekonywująco – o jedności kulturowej Europy, o jej chrześcijańskiej tradycji, o tym, że podziały na Europę Wschodnią i Zachodnią są anachronizmami itp., itd.

Trudno się z tymi sformułowaniami nie zgodzić, są one słuszne i nie podlegają dyskusji. Ze stwierdzenia tego faktu jednak jeszcze nic konkretnego nie wynika. O tym, że Polacy kulturowo i historycznie przynależą do Europy, sami Polacy wiedzieli od zawsze. Ta świadomość pozwoliła im przetrwać między innymi zabory, a zwłaszcza okres rasyfikacji, a także całe ponad czterdziestolecie powojenne.

Zaczęło się od Jałty

Tak się dziwnie składa, że demokracje zachodnie chcą dzisiaj to odbudowywać, co bardziej lub mniej świadomie przehandlowały w czasie drugiej wojny światowej. Podział Europy na tę Zachodnią, wolną i demokratyczną i tę Wschodnią, komunistyczną, dokonał się w Jałcie, Teheranie i Poczdamie. Dokonał się przy pełnej aprobacie Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Kosztem wolnych państw wcielonych siłą do Związku Radzieckiego i kosztem państw przyjmujących status satelitów. Druga wojna światowa zakończyła się militarną klęską Niemiec i polityczną klęską Europy Środkowej. Jedynymi zwycięzcami tej wojny stali się Sowieci, powiększając swoje terytorium i uzyskując status supermocarstwa z możliwościami decyzji o losach świata.

Ten polityczny stan w Europie trwa do dnia dzisiejszego, a jego sygnatariusze zdają się być zadowoleni z tego faktu. Mówię o sygnatariuszach zachodnich, gdyż układ jałtański leży wyłącznie w interesie Związku Radzieckiego, a nie Europy jako całości. Podział Europy na świat wolny i sferę wpływów komunistycznych zrodził prawie natychmiast izolacjonizm w stosunkach międzynarodowych. Jeszcze nie było ani NATO, ani Układu Warszawskiego – a już Sowieci odgradzili Europę Środkową od reszty kontynentu i świata żelazną kurtyną. Konsekwencją zapadającej żelaznej kurtyny było między innymi odrzucenie amerykańskiej inicjatywy gospodarczej tzw. Planu Marshall'a.

Ta pomoc gospodarcza odbudowała Europę Zachodnią, stając się początkiem integracji politycznej i ekonomicznej. Mocarstwa Zachodnie przegrały w Jałcie jedność Europy. Związek Radziecki wygrał komunistyczną mocarstwowość.

Obecna sytuacja

Po czterdziestu paru latach eksperymentowania z komunizmem w Europie Środkowej przyszłość polityczna naszego kontynentu nie napawa optymizmem. Wolny politycznie i sprawny ekonomicznie Zachód Europy – pomimo swoich "kryzysów" nadprodukcji – przeżywa ciągły rozwój i prosperity. Pakt Atlantycki, a przede wszystkim Europejska Wspólnota Gospodarcza, pomimo istotnych różnic w interesach ekonomicznych poszczególnych krajów, uczyniła z nich jeden wielki, sprawny organizm gospodarczy. Do EWG opłaca się należeć.

Wspólnota polityczna i ekonomiczna zachodnich państw w niczym nie umniejsza ich suwerenności. Po prostu tym państwom opłaca się być członkiem zintegrowanej Europy, gdyż z takiej przynależności można czerpać istotne korzyści. Gdy Twórca hasła Europy od Atlantyku po Ural – de Gaulle – wyprowadził swój kraj z Paktu Atlantyckiego – Stary Zjednoczone i ich sojusznicy nie dokonali inwazji na Francję, w imię zabezpieczenia interesów wspólnoty. Istnienie amerykańskich baz na terenie Europy Zachodniej zależy nie od Stanów Zjednoczonych lecz od Parlamentów zainteresowanych krajów. Jeżeli bazy te do tej pory istnieją, to świadczy o tym, że ich istnienie leży w interesie gospodarzy.

Europa to rzeczywiście wspólna kultura, wspólna tradycja, podobny system wartości moralnych. Być Europejczykiem znaczy tyle, co przynależać do tego kręgu kulturowego. Współczesna Europa to wspólny dom wolnych ludzi. I ta współczesna Europa niestety kończy się na Łabie. Na wschód od Łaby rozciąga się także Europa, tyle że w sensie geograficznym, natomiast w sensie cywilizacyjnym są to jej dalekie przedsiorki. Europa Współczesna to dobrowolna integracja suwerennych krajów demokratycznych i silnie rozwiniętych gospodarczo. System komunistyczny, siłą zainstalowany w Polsce i innych krajach, stał się zaprzeczeniem tych wszystkich wartości, jakie od wieków tworzyła cywilizacja europejska. Polska – dumna ze swej przynależności do kultury łacińskiej, przywiązana do wolności i niepodległości – została zmuszona do uznania za prawdziwe takich wartości, które klóciły się i z przyjętym systemem wartości i z zdrowym rozsądkiem.

Koło historii zamiast się kręcić we właściwym kierunku, zaczęło się cofać.

Mieszkaniec Londynu, Paryża i Rzymu - czuje się Europejczykiem, a raczej Europejczykiem Zachodnim. Czuje się członkiem wielkiej zachodnio-europejskiej wspólnoty pomimo tego, że czuje się przede wszystkim Brytyjczykiem, Francuzem czy Włochem. Nacjonalizmy w Zachodniej Europie są nadal silne, a poczucie przynależności do swego narodu nie znikło i pewno nie zniknie nigdy. Integracja to nie likwidacja granic narodowych, to nie wysprzedawanie narodowych interesów, to integracja dla własnego dobra z całą swoją odrębnością. Tak sens jedności rozumieją Zachodni Europejczycy.

Mieszkaniec Londynu czuje się Europejczykiem - mieszkaniec Warszawy czy Budapesztu chciałby czuć się Europejczykiem. Dlaczego się nim nie czuje? Bo nie może. Wszystko co go otacza, system polityczny, gospodarczy, kultura materialna nie przypomina Europy. Aktualne reformy ekonomiczne, po czterdziestu latach niszczenia wszystkiego co dało się zniszczyć, mają peerel upodobnić - przynajmniej w sensie gospodarczym - do EUROPY. Czy spełnią pokładane nadzieje? Należy chyba w to wątpić. Żadna reforma w ramach systemu komunistycznego nigdzie, jak do tej pory, się nie powiodła. Węgry są typowym przykładem. Ich reforma doprowadziła gospodarkę do bankructwa, a kraj do horrendalnego zadłużenia. Tylko całościowa reforma ma przed sobą jakieś szanse. Całościowa, to przede wszystkim polityczna. Mieszkaniec Warszawy, aby czuć się Europejczykiem, musi być obywatelem wolnego kraju, mieć demokratyczne swobody polityczne, a zarobione w Polsce pieniądze, swobodnie wymieniać w Paryżu i Brukseli.

Wspólna Europa

Jesteśmy za. Jesteśmy za wspólną Europą - za wspólnym domem wolnych ludzi. Warto sobie jednak uświadomić, że nie będzie wspólnej Europy, jeżeli kontynent pozostanie podzielony. Wypowiedzenie przez Zachodnią Europę porozumień jaitańskich jest zasadniczym czynnikiem, warunkującym sens głoszenia jakiegokolwiek wspólnoty.

Czyni to jest aktualnie Europa Środkowa. Gospodarczym bankructwem ze zdemastowanym naturalnym środowiskiem z systemem politycznym, przypominającym archaiczne systemy niewolnicze. Czy taka Europa, posiadając wszystkie inne czynniki, może stać się równoprawnym partnerem zachodniej części kontynentu. Prawdziwa Europa dalej będzie kończyła się na łabie, jeżeli w Warszawie, w Pradze czy w Budapeszcie nadal będą głoszone zasady jedynie słusznego ustroju, a dywizje rosyjskie będą strzec ładu i porządku w zaprzyjaźnionych krajach.

Aby Europa Środkowa mogła stać się prawdziwą Europą, musi wyzwolić się z systemu, który zepchnął ją w objęcia czwartego świata. Przewyciężyć podział Europy, to przede wszystkim zlikwidować przyczynę podziału kontynentu. Sygnatariusze porozumień jaitańskich muszą oficjalnie je wypowiedzieć i przyznać, że nie służyły one sprawom ani pokoju ani wolności narodów.

Intencje mierzy się poprzez czyny. Związek Radziecki, jeżeli rzeczywiście ma zamiar porzucić prowadzenie swej imperialnej polityki, do tej deklaracji winien się przyłączyć. Jak to tej pory z jednej i drugiej strony, poza oczywiście głoszeniem sloganów, nie uczyniono nic, aby przybliżyć jedność całej EUROPY. A same słowa nie wystarczą.

Czy Europa może kończyć się na Uralu. W sensie geograficznym ona tam się przecież kończy. Jeżeli Turcja, w cywilizacyjnym wymiarze, powoli zbliża się do Europy, a nawet jest kandydatem do EWG, to dlaczego chrześcijańska Rosja miałaby być poza nią. Współczesna Europa tam się kończy i zaczyna - gdzie kończy się i zaczyna polityczne poszanowanie wolności jednostki i narodu. Być w Europie - to uznać te wartości za nienaruszalne, to bronić je przed dewaluacją i zaprzepaszcczeniem. I Turcja i Rosja mogą i powinny być w Europie. Wspólna Europa to wspólny dom wolnych obywateli. Wspólna Europa - to wspólny dom wolnych państw i narodów. Wspólna Europa - to wspólny dom również dla Rosji, ale nie tej komunistycznej i imperialnej.

Cyryl CYWILNY

OSWIADCZENIE W SPRAWIE POLITYKI GOSPODARCZEJ

Dotychczasowe próby ustabilizowania gospodarki, podejmowane przez rząd nie przyniosły pozytywnych rezultatów. Nasilająca się inflacja jest podstawowym problemem gospodarczym i społecznym. Nieumiejętna polityka hamowania inflacji nie ograniczyła wzrostu cen, natomiast pogłębiła nierównowagę i jeszcze bardziej wypaczyła relacje wyceny czynników produkcji i cen rynkowych. Te negatywne procesy uległy przyspieszeniu w wyniku nieudanej operacji cenowo-dochodowej.

OSWIADCZENIE W SPRAWIE POLITYKI GOSPODARCZEJ

Rządowa polityka hamowania wzrostu cen

Rząd nie posiada żadnego realnego planu przewyższenia inflacji. Ogłoszone zamierzenia rządu wskazują na to, że za priorytet uznano zahamowanie wzrostu cen detalicznych. Oznacza to próbę likwidowania inflacji jawnej /cenowej/ kosztem zwiększenia inflacji ukrytej /nierównowagi/. Polityka ta wynika z presji społeczeństwa, zmęczonego niestabilnością pieniądza. Zahamowania wzrostu cen domaga się także część autorytetów, związanych z opozycją.

Polityka hamowania wzrostu cen w skali zapowiedzianej przez rząd ma znikome szanse powodzenia. Nie można jej uznać za politykę antyinflacyjną, gdyż nie zmierza ona do zlikwidowania inflacji, jako zjawiska ekonomicznego lecz jedynie jej objawów /inflacji jawnej/. Może ona spowodować szereg niekorzystnych efektów dla reformującej się gospodarki. Podstawowym instrumentem hamowania wzrostu cen będą określone przez rząd pułapy wzrostu. Konsekwencją tej polityki będzie deficyt budżetowy, spowodowany wzrostem dotacji, stanowiących 1/3 wydatków budżetowych. Dla częściowego zrównoważenia wydatków budżetu niezbędne stanie się zwiększenie lub co najmniej utrzymanie na dotychczasowym poziomie obciążeń podatkowych. Administracyjne hamowanie cen będzie niemożliwe bez sztucznego utrzymania oficjalnego kursu złotego do dolara powyżej rzeczywistej wartości złotego. Efektem tego będzie nieopłacalność części eksportu i konieczność zwiększenia dopłat wyrównawczych do eksportu, co dodatkowo obciąży wydatki budżetu.

Zahamowanie wzrostu cen do poziomu zapowiedzianego przez rząd /20% bez skutków przeniesionych/ nie powiedzie się z następujących powodów:

- Ustalone pułapy wzrostu cen będą łatwe do "obejścia" przez zmianę asortymentu.
- Nie jest możliwe zahamowanie wzrostu płac metodami administracyjnymi z powodu presji pracowników. W ubiegłym roku wzrost dochodów przewyższył o 15 punktów wzrost wydatków. Spowodowało to głęboką nierównowagę zwłaszcza na rynku dóbr trwałego użytku. Dalsze trwanie tej tendencji może doprowadzić do dramatycznej nierównowagi rynkowej.
- Wysokie oprocentowanie wkładów oszczędnościowych nie jest alternatywą dla panicznych zakupów z powodu braku społecznego zaufania do rządowej polityki antyinflacyjnej.
- Prawdopodobne jest powstanie silnej presji ze strony przedsiębiorstw zagrożonych bankructwem, na zwiększenie cen ponad ustalony pułap albo w celu otrzymania preferencji kredytowych i podatkowych. Rząd nie dysponuje wystarczająco silnymi instrumentami, by się tej presji przeciwstawić.
- Według zapowiedzi rządu - około 1/4 importu wolnodewizowego będzie finansowana przez zakup dewiz w systemie przetargów. Oznaczać to będzie ukształtowanie się dla tego obszaru kursu dolara znacznie powyżej oficjalnego, co spowoduje gwałtowny wzrost cen towarów i komponentów importowanych.

Realizacja polityki administracyjnego hamowania wzrostu cen detalicznych odbije się negatywnie na aktywności gospodarczej. Powstaną następujące zagrożenia:

- Wysokie obciążenia podatkowe, w powiązaniu z wysoką ceną kredytu uniemożliwią samofinansowanie, a zwłaszcza restrukturyzację dużej części przedsiębiorstw.
- Niemożność podniesienia cen poza określony pułap spowoduje rezygnację przedsiębiorstw z produkcji wyrobów, które w sztuczny sposób staną się deficytowe. Rząd może w takim wypadku zostać zmuszony

do przeciwdziałania temu metodami administracyjnymi, co byłoby groźne dla reformy gospodarczej.

- Restrykcje cenowe spowodują rezygnację części prywatnych producentów z produkcji, co uniemożliwi uzyskanie przez gospodarke korzyści z liberalizacji przepisów, dotyczących tego sektora.
- Utrzymywanie zawyżonego oficjalnego kursu złotego i wysokiego kursu dolara w przetargach utrudni eksport i zmniejszy jego efektywność.
- Utrzymana będzie błędna wycena czynników produkcji, co uniemożliwi podejmowanie racjonalnych decyzji gospodarczych.
- Utrzymają się i będą się odradzać monopole, mające oparcie w wysokich dotacjach.

Najbardziej prawdopodobnym wariantem sytuacji inflacyjnej w bieżącym roku będzie znaczne przekroczenie zapowiadanych wskaźników inflacji przy jednoczesnym pogorszeniu aktywności gospodarczej oraz pogłębieniu nierównowagi wynikającej z niejednakowych nacisków wywieranych przez przedsiębiorstwa na administracyjne bariery.

Propozycja wyjścia z sytuacji

Powyższa analiza wskazuje na to, że polityka hamowania wzrostu cen metodami administracyjnymi nie okaże się skuteczna, a jej efekty będą szkodliwe. Nie istnieje możliwość zahamowania inflacji w najbliższym czasie. Konieczne jest natomiast jej ujawnienie i zamiana inflacji ukrytej /nierównowagi/ w inflację jawną /wzrost cen/. Inflacja ta będzie kosztem osiągnięcia w gospodarce równowagi, a nie jak dotychczas, jedynie objawem choroby. Dopiero po ujawnieniu inflacji możliwe będzie stosowanie polityki deflacyjnej.

Za konieczne uważamy:

- Zmniejszenie wydatków budżetowych na dotacje.
- Zmniejszenie obciążeń podatkowych przedsiębiorstw.
- Zamianę części dochodów niepieniężnych ludności /dotacje, preferencyjne kredyty na budownictwo mieszkaniowe/ na dochody pieniężne, co oznaczać będzie wzrost udziału płac w produkcie narodowym.
- Zaniechanie reglamentacji czynników produkcji /w tym lokali użytkowych, nieruchomości i działek budowlanych/ i umożliwienie ich alokacji na zasadach rynkowych. Być może, niezbędne będzie pozostawienie w pierwszym etapie reglamentacji niektórych surowców i energii.
- Dopuszczenie cen wolnokonkurencyjnych na wszystkie artykuły konsumpcyjne i zniesienie reglamentacji mięsa i jego przetworów. Niezbędne jest zwłaszcza natychmiastowe podniesienie cen dóbr konsumpcyjnych trwałego użytku /np. telewizorów, samochodów/ do poziomu zapewniającego równowagę.
- Zniesienie ograniczeń w kształtowaniu cen, w tym zniesienie kategorii ceny urzędowej i regulowanej; zaprzestanie "zwalczania" wzrostu cen za pomocą drastycznych stawek podatku obrotowego /tak zwanego "podatku od nierównowagi"/.
- Zniesienie ograniczeń w kształtowaniu płac.
- Dewaluacja oficjalnego kursu złotego do poziomu zapewniającego opłacalność przeważającej części eksportu; w ciągu dwóch lat należy doprowadzić do jednolitego kursu złotego do walut wymiennalnych.

Efektom ograniczenia dotacji i uwolnienia cen i płac będzie znaczny wzrost cen. Wzrost kosztów utrzymania pobudzi nacisk na płace. Pierwszym efektem wzrostu cen i płac będzie obniżenie dochodów realnych w ujęciu statystycznym. W ujęciu realnym operacja ta

OSWIADCZENIE W SPRAWIE POLITYKI GOSPODARCZEJ

nie będzie miała negatywnych skutków dla średniego poziomu dochodów, choć spowoduje zmiany w strukturze dochodów, co przez część społeczeństwa będzie odczuwane jako obniżenie stopy życiowej.

Nastąpi poprawa efektywności gospodarczej na skutek:

- bankructwa przedsiębiorstw najsłabszych;
- zaniechania nieefektywnej produkcji;
- zaniechania nieefektywnego eksportu.

Obniżenie obciążenia podatkowego przedsiębiorstw zwiększy zakres ich samofinansowania i umożliwi akumulację w oparciu o środki własne. W efekcie tego zmieni się struktura inwestycji na korzyść inwestycji własnych przedsiębiorstw. Obniżenie obciążeń podatkowych przedsiębiorstw umożliwi wzrost płac /także wzrost udziału płac w kosztach/.

Posunięcia antyinflacyjne

Polityka ta uruchomi dodatkowe mechanizmy inflacyjne. W ujęciu statystycznym wskaźnik inflacji wzrośnie, ponieważ ograniczona zostanie inflacja ukryta, nie ujmowana w oficjalnych wskaźnikach inflacji. Zwyczajne środki ograniczenia deficytu budżetowego i równoważenia gospodarki będą niewystarczające. Konieczne będzie sięgnięcie do środków nadzwyczajnych. Proponujemy zastosowanie następujących instrumentów antyinflacyjnych:

- Wyprzedaż części majątku produkcyjnego obywatelom i prywatnym podmiotom gospodarczym, co dostarczy budżetowi państwa jednorazowego zasilenia dochodów.
- Sprzedaż prywatnym użytkownikom mieszkań, działek i nieruchomości.
- Drastyczne ograniczenie wydatków na wojsko, w tym także wydatków ukrytych w kosztach przedsiębiorstw.
- Umożliwienie lokowania oszczędności obywateli na rynku kapitałowym; /założenie, że całość dochodów ludności jest przeznaczona wyłącznie na zakup artykułów konsumpcyjnych jest błędne, część dochodów może być przeznaczona na cele inwestycyjne.
- Wypuszczenie obligacji skarbowych denominowanych w dolarach, co umożliwi uruchomienie części rezerw dolarowych, pozostających w rękach ludności.

Antyinflacyjny efekt będzie miał także wzrost produkcji i efektywności, będący wynikiem urealnienia wycen i obniżenia podatków /efekt podaży/. Efekt ten zostanie uruchomiony, pod warunkiem rezygnacji przez państwo z "podatku od nierównowagi rynkowej".

Szybki wzrost cen wymaga ochrony poziomu życia ludności. Dlatego niezbędne jest wprowadzenie na okres przejściowy indeksacji płac i oszczędności, której zakres byłby ustalony w negocjacjach między rządem i pluralistycznym ruchem związkowym. Dla niektórych grup społecznych, szczególnie upośledzonych, indeksacja może być pełna.

Podsumowanie

Przeprowadzenie opisanych powyżej posunięć nie uzdrowi polskiej gospodarki i jej pieniądza. Stworzy jednak dogodny punkt wyjścia dla polityki stabilizacji. Polityka ta nie będzie skuteczna bez "oczyszczenia przedpola" przez wskazane powyżej posunięcia. Dopiero po wyeliminowaniu dotacji, osiągnięciu rzetelnej wyceny czynników produkcji oraz cen równowagi rynkowej możliwa będzie efektywna polityka deflacyjna.

Proponowane posunięcia powodować będą szereg skutków, odczuwalnych przez społeczeństwo jako niedogodność. Jednakże trzeba je podjąć w imię realnej szansy uzdrowienia w ciągu 3 lat sytuacji gospodarczej, uruchomienia mechanizmów efektywnościowych i uzyskania gospodarczej równowagi. Dla takiej polityki niezbędne jest jednak przyzwolenie społeczeństwa. Może być ona skutecznie przeprowadzona tylko przez rząd, cieszący się społecznym poparciem, posiadający demokratyczną legitymację, mogący odwoływać się do konsensusu podstawowych sił społecznych. Nie istnieje zatem rozwiązanie kwestii gospodarczych bez wcześniejszego uzgodnienia podstawowych zmian politycznych.

NOTATNIK ARKADYJSKI: XXXIII. TYLKO RYNEK

W zamieszczonym w 44/1941 nr. "ZA I PRZECIW" / z 30.X.1941r. / a odnoszącym się do kapitału zagranicznego w Polsce artykule zatytułowanym "Deklaracje nie wystarczą", Elżbieta Krzysztofek pisze: "Odmieniana niegdyś przez wszystkich przepadki niechęć do kapitalizmu zostawiła trwałe ślady. Nieuświadomiona, trwająca gdzieś głęboko w zakamarkach nieruchomości wysiłków. I oto powstał stereotyp przedsiębiorstwa, nazwijmy je umownie, zagranicznego. Takiego, które produkuje rzeczy co prawda efektywne, ale w naszej sierdziejnej rzeczywistości, nikomu do niczego niepotrzebne. Do tego jeszcze zarabia na tej produkcji".

Święta słowa... Postawy takie, choć ostatnio mniej staplootawane przez propagandę są wśród kolejkowej, nielicznej większości, nagrodne. I nikt się jakoś nie zastanawia, jak można zarabiać na czymś, co jest nikomu do niczego niepotrzebne...

Jest jednak i gorzej. Postawy takie tak głęboko wniknęły w podświadomość Polaków, że nawet zdeklarowani rynekowcy nie są od nich wolni. Ba, nieświadomie sobie niekonsekwencji tego co głoszą. To także przypadek Elżbiety Krzysztofek. Oto bowiem, w całkowicie prorzywkowym artykule znajduje się taki passus: "nało kto ma świadomość, że pośród tych kilkaset przedsiębiorstw zagranicznych są i takie - i wcale ich nie mało - które produkują rzeczy naprawdę potrzebne i rzeczywiście przydatne naszemu krajowi".

Tymczasem o tym co jest przydatne i potrzebne nie decyduje przecież ani administracja, ani najlepiej nawet zorientowany w ekonomii dziennikarz, tylko rynek. Czyli inaczej mówiąc, klient, który na tym rynku dokonuje zakupów. Firma, oczywiście prywatna, jeśli dostarczy na rynek towar nieprzydatny do niczego i nikomu niepotrzebny, to po prostu zbankrutuje... i szlus. Jeśli zaś prosperuje, jeśli zarabia nie tylko na zysk dla właściciela, ale na kilkakrotnie wyższe niż państwowe pensje dla personelu oraz na drakońskie i typowo drenażowo pomyślane podatki, to po prostu jest potrzebna, a jej produkty na pewno są przydatne, nawet gdyby to były, czy ja wiem, zegarki wodotryskien.

Arkady AQEDUKT

SOLLICITUDO RVI SOCIALIS

Popularny na przełomie XIX i XX wieku malarz religijny, portrecista i batalista - współtwórca Panoramy Racławickiej - Jan Styka, malował swego czasu Matkę Boską. Z należnym szacunkiem - czyli na kolanach. I oto, jak wieść gminna głosi, objawiła mu się Matka Boska i powiedziała: "Jasiu! Ty mnie nie maluj na kolanach. Ty mnie maluj dobrze".

Współcześni Polacy mają w sobie coś ze Styki - teksty i przemówienia Jana Pawła II czytają i słuchają "na kolanach". Tymczasem Jan Paweł II pragnie - jeśli by przyjął konwencję przytoczonej powyżej anegdoty - byśmy do jego posłania odnosili się nie "na kolanach", a byśmy traktowali je poważnie, a więc także i krytycznie. Jak wiemy od Kisiela, Ojcu Świętemu zależy właśnie na głosach krytycznych.

W zachodniej prasie ich nie brak. Z trzech prezentowanych poniżej omówień ostatniej papieskiej encykliki: Johna P.Coopera, Jude P.Dougherty i Toma Bethella, dwie omawiany, trzecią najbardziej krytyczną zamieszczamy w całości. Czytając ją polski Czytelnik powinien zdawać sobie sprawę, iż:

po pierwsze - pisany on jest z niekoniunkturalnych pozycji liberalnych, w europejskim tego słowa znaczeniu, co z góry ustawia go w opozycji do społecznej nauki Kościoła;

po wtóre - pisany jest przez Amerykanina i zapewne protestanta, dla Amerykanów i jak na amerykańskie obyczaje prasowe, odnosi się do Jana Pawła II z szacunkiem i życzliwie;

po trzecie - wpisuje się w wewnętrzną dyskusję amerykańską pomiędzy tzw. neokonserwatystami /1/, a kołami liberalnymi - w amerykańskim rozumieniu tego pojęcia /2/, wyrażając stanowisko tych pierwszych.

"SOLIDARNOSC I WOLNOSC W 'SWIATOWEJ WIOSCE"

Artykuł Bethella - wydaje się nam przynajmniej są na to szanse iskrą wywołującą dyskusję w prasie niezależnej na temat pracy i kapitału i ich wzajemnych relacji. Na temat, którego znaczenie trudno jest przecenić, a który, jak narazie, zbywany jest zgrahnymi komunałami.

Redaktor Dyżurny Numeru

/1/ W poprzednim numerze /"N" nr 77, maj 1988/ omówiliśmy manifest konserwatystów, książkę Michaela Novaka "Duch nowoczesnego kapitalizmu" dotyczącą właśnie tych problemów - patrz "Katolicy w kapitalizmie", str. 16 - przyp. "N";

/2/ W Stanach Zjednoczonych za liberałów uważa się np. zwolenników państwa opiekuńczego - przyp. "N".

"SOLIDARNOSC I WOLNOSC" W "SWIATOWEJ WIOSCE"

Na łamach amerykańskiego czasopisma* ukazały się /lipiec 1988r./ dwie nader obszernie analizy "Solicitude Rei Socialis". John W.Cooper, autor artykułu "Solidarność i wolność. Wizja przedstawiona w S.R.S." pisze m.in., iż papież odrzuca trzy powszechne przekonania, charakterystyczne dla obecnych czasów: 1/ iż rozwój, szczególnie Trzeciego Świata, jest zjawiskiem czysto ekonomicznym; 2/ iż rozwój gospodarczy musi poprzedzać wolność polityczną oraz kulturalną; 3/ że świat współczesny jest, by użyć słów B.F.Skinnera, "poza wolnością i godnością", a także, iż ludzie muszą obecnie po prostu wybierać między kilkoma rywalizującymi systemami kontroli. Ponadto, jego zdaniem, z encykliki wynika, iż wymiary osoby ludzkiej składają się z trzech szerokich kategorii: polityki, ekonomii i kultury. Jan Paweł II twierdzi, iż klucz do postępu na wszystkich tych polach polega na równowadze solidarności społecznej oraz wolności indywidualnej.

Na obecność w "S.R.S." silnego wątku potrzeby solidarności społecznej zwraca też uwagę Jude P.Dougherty - autorka drugiego artykułu: "Światowa wioska Jana Pawła II". Jej zdaniem, podkreślenie przez papieża potrzeby takiej solidarności wynika częściowo z tradycji Ojców Kościoła, częściowo z wpływu współczesnych katolickich filozofów religii, ale też - na co zwraca uwagę także Cooper - z doświadczeń życia w Europie Wschodniej, a szczególnie z historii polskiej "Solidarności". Doświadczenia te powodują, iż: "Jan Paweł wie, że chleb przychodzi dzięki wolności, nie zaś przed nią".

W sensie politycznym oznacza to również - co podkreśla oboje autorów - konieczność wyboru demokracji, nie zaś tyranii. Jeśli chodzi o kontrowersyjny zarzut, iż papież stawia znak równości między Wschodem a Zachodem na płaszczyźnie moralnej - oboje odrzucają go. Chodzi raczej - na co wskazuje Dougherty - o wykazanie, iż żaden z dwóch systemów politycznych, ekonomicznych, itd. nie jest doskonały. Nie ma to nic wspólnego z identyfikowaniem ich, Jan Paweł II pragnie wykazać, iż oba są - każdy we własnym sensie - niedoskonałe. Zachód jednak, dysponujący obfitością dóbr materialnych, ponosi odpowiedzialność za te narody, które ich nie posiadają. Kto jednak ponosi winę za owe "nie posiadanie" - czy tylko złe systemy polityczne, ubóstwo spowodowane przeszłością, np. wyzyskiem kolonialnym? Autorzy artykułów nie odpowiadają na to pytanie.- przy okazji analizy postulatów encykliki - wprost i jednoznacznie. Podkreślają jednak znaczący fakt: oto papież wyraźnie daje do zrozumienia, iż choć zarówno na Wschodzie jak i na Zachodzie istnieją "struktury grzechu", demokratyczny kapitalizm łatwiej przynosi obfitość i dostatek, aniżeli gospodarka prowadzona pod nadzorem państwa. Jan Paweł II potępia niedwuznacznie jedynie kapitalizm typu laissez-faire, ktc. wyzyskuje siłę ludzką i zasoby naturalne Trzeciego Świata.

Nie wynika z tego jednak, by Kościół wspierał jakikolwiek wybrany model ustrojowy - jak podkreśla to Cooper; najdalej idący wniosek, wynikający z encykliki to ten, iż o "doskonałości" takiego modelu decyduje jego stopień zbliżenia do chrześcijańskiego ideału moralnego. Muszą pamiętać o tym wierni.

Nie należy również zapominać, że "S.R.S." jest, by tak rzec, kolejną częścią serii encyklik papieskich, dotyczących zagadnień wolności, sprawiedliwości

i wspólnego dobra: "Rerum Novarum", "Quadragesimo Anno", "Mater et Magistra" oraz "Populorum Progressio". Jan Paweł II znacznie jednak poszerzył - uważa Cooper - zakres zagadnień poruszanych przez swoich poprzedników. Obecny Papież świadomie "bierze ca najlepsze" z tamtych dokumentów oraz "unowocześnia nauki Kościoła", przystosowując je do obecnych czasów, uwzględniając zwłaszcza problemy rozwoju. Oboje autorów słusznie też zauważa, iż Jan Paweł II - znacznie silniej niż którykolwiek z poprzednich papieży - łączy rozwój gospodarczy z prawami człowieka. Obecna encyklika jest mocnym głosem na rzecz demokracji - rozumianej w kontekście katolickiej nauki społecznej.

Co, zdaniem papieża, stanowi o wartości demokracji? Istnienie instytucji, poprzez które ludzie mogą uczestniczyć w rządzeniu państwem - chodzi np. o różnorodność partii politycznych, rywalizujących w okresowych, uczciwych wyborach, zaufanie do partii aktualnie znajdującej się u rządów /która to partia musi z kolei służyć interesom narodu/, konieczność działania jako legalna opozycja dla partii, które nie stoją w danym momencie u steru rządów, konstytucyjne lub sądowe podstawy, gwarantujące rządy prawa, nie zaś "osób" /chodzi tu o władzę rządzącą arbitralnie/, niezawisłość sądów, wolność prasy oraz istnienie dobrowolnych stowarzyszeń społecznych, stojących na straży praw i interesów rozmaitych grup społecznych. Oto podstawy demokracji - zdaje się mówić papież w "S.R.S." Ważne są także dla niej "instytucje pośredniczące" /między jednostką a państwem/; chodzi tu np. o rodziny, kościoły, grupy sąsiedzkie, szkoły, związki zawodowe, korporacje czy też stowarzyszenia. Każda z tych instytucji - niezależna od panującego porządku politycznego, jednak arcyważna dla jego stabilności - mieści w sobie prawa człowieka.

Nadzwyczaj istotną sprawą dla III Świata jest prawo do indywidualnej inicjatywy gospodarczej, dzięki której - poprzez zwiększenie zatrudnienia, stworzenie nowych miejsc pracy, wzrost produkcji itd. - podnosi się poziom życia. Oczywiście rozsądny /oraz uczciwy/ interwencjonizm państwowy jest i tu niezbędny, jednak - co niezbitnie wynika z encykliki - tłumienie inicjatyw gospodarczych przez władze /w systemach "ściśle socjalistycznych" - twierdzi Cooper, dodając jednak, iż Papież nie mówi tego wprost/ jest wysoce naganne i wywołuje opłakane skutki.

Z "S.R.S." nie wynika bynajmniej, iż Jan Paweł II uważa się za "kapelana NATO" - pisze Cooper. Z drugiej jednak strony, z lektury encykliki - a także z lektury wcześniejszych pism Papieża - można łatwo wysnuć wniosek, iż potępia on stanowczo wszelkie represje polityczne, ekonomiczne, kulturalne i religijne, praktykowane w krajach bloku sowieckiego. Równocześnie jednak uważa, że Zachód musi zerwać z zadufaniem w sobie, zaprzestać życia ponad stan i jedynie dla chwili obecnej. Papież ubolewa nad tym, iż napięcie między Wschodem i Zachodem może łatwo przeistoczyć się w przemoc i wojnę. Na Zachodzie, ideologia "liberalnego kapitalizmu" prowadzi do egoizmu, materializmu i konsumeryzmu. Wtedy zagrożona staje się solidarność społeczna. Na Wschodzie z kolei ideologia "marksistowskiego kolektywizmu" prowadzi do wzmoczonego nadzoru państwa, stagnacji gospodarczej i poświadczeniu praw jednostki na rzecz planowania. W tej sytuacji - sugerują autorzy artykułów - zagrożona zostaje wolność jednostki.

W dziedzinie polityki, gospodarki i kultury Zachód - co także wynika z encykliki - poszedł w kierunku mniej "politycznym", ale za to więcej "pragmatycznym". Dzięki temu zachodnie społeczeństwa, niezależnie od wyznawanej ideologii, bardziej zbliżyły się do ideału dobrego społeczeństwa, przedstawionego w "S.R.S.", aniżeli wschodnie.

Jude P. Dougherty sugeruje ponadto, iż fragment encykliki, w którym Jan Paweł II twierdzi, że żadna partia polityczna nie ma prawa do uzurpowania sobie roli "wyłączniego przywódcy", odnosi się do bloku wschodniego. Autorka artykułu uwypukla też to, że Papież wspomina także o grzechach charakterystycznych dla politycznie ujarzmionych, potępiając je: chodzi o użycie słów "emigracja wewnętrzna" w negatywnym kontekście. Warto tutaj zauważyć - twierdzi Dougherty - że jeśli nawet istnieje pojęcie odpowiedzialności osobistej za popełnione grzechy, to jednak istnieją też pewne struktury polityczne sprzyjające brakowi moralności /immorality/. Niemniej, żadne z dwojga autorów nie wdaje się w szczegółowe analizy tego wątku encykliki - nie łączą oddziaływania rzeczywistości polityczno-

MOJA BARDZO WIELKA WINA ?

społecznej ze zmianami psychiki ludzkiej.

Autorzy analiz podkreślają również, iż by w pełni zrozumieć wymowę encykliki - należy wziąć pod uwagę nie tylko tradycję katolicką, ale także intelektualne przygotowanie Karola Wojtyły, które otrzymał on w Krakowie i Lublinie. Dougherty uważa, iż na jego metodę filozoficzną wywarły duży wpływ studia nad personalizmem Maxa Schelera - chodzi tu zwłaszcza o problematykę miłości.

Co jest głównym celem encykliki? Zdaniem obojga autorów, jest nim zwrócenie uwagi na wymiar moralny odpowiedzialności osobistej, grupowej oraz narodowej. Encyklika stawia na pierwszym planie prawo do życia w dobrobycie dla grup słabszych ekonomicznie i społecznie. Jan Paweł II uzasadnia też konieczność podjęcia moralnego wysiłku, jeżeli nie w imię własnych interesów, to w imię chrześcijańskiego miłosierdzia.

Opracował: MASON

* "THE WORLD AND I"

MOJA BARDZO WIELKA WINA ?

przedruk: "NATIONAL REVIEW", 15 kwietnia 1988r., str. 34

W najnowszej encyklice "Sollicitudo Rei Socialis" Jan Paweł II powtarza kilkakrotnie, iż wielkie "nadzieje na rozwój" /1/ w Trzecim Świecie, wyrażone przez jego watykańskiego poprzednika Pawła VI, nie spełniły się w dwudziestolecie, które minęło od ogłoszenia jego encykliki "Populorum Progressio". Ponadto, jak twierdzi Jan Paweł II, owe nadzieje "wydają się dzisiaj bardzo dalekie od urzeczywistnienia".

W tym punkcie Ojciec Święty ma rację, a jeśli przyjrzymy się bliżej zaleceniom encykliki "Populorum Progressio", zrozumiemy, dlaczego rzeczy mają się inaczej niż oczekiwano. Jak zauważa Jan Paweł II, "nowatorski charakter" encykliki "Populorum Progressio" wzbudził wielkie zainteresowanie opinii publicznej tym dokumentem w roku 1967 - szczególnie, można dodać, wśród takich lewicowych ekonomistów jak Barbara Ward. Jednak nie wszyscy późniejsi krytycy okazali się tak łaskawi. P.T.Bauer, znany przeciwnik ekonomii rozwoju "środką", potępia encyklikę jako "niemoralną". Lord Bauer /dziś bowiem osiągnął on już tę godność/ zarzuca jej także "brak wiarygodności", albowiem, jego zdaniem, była ona inspiracją takiej polityki "jaka stała w jaskrawej sprzeczności z deklaracjami oraz celami" dokumentu. Na dobitkę, sankcjonowała pogląd, iż "zawiść jest usprawiedliwiona". Jej główną tezę, powiada Bauer, jest to, iż różnice ekonomiczne "logicznie określone mianem nierówności, odzwierciedlają niesprawiedliwość".

Oczywiście Jan Paweł II nie mógł nie wyrażać się pochlebnie o encyklice swojego poprzednika. Tym niemniej, warto zauważyć, iż w "Sollicitudo Rei Socialis" niemal nic nie wspomina o "nowatorskich" środkach ekonomicznych, które zaleca wprost Paweł VI. Weźmy na przykład centralne planowanie. "Rzeczą władz publicznych jest natomiast ustalanie i oznaczanie pożądanego celu, zadań do wykonania i dróg realizacji", napisał Paweł VI. Zostali nam narzuceni eksperci, "wybitni specjaliści", a także "głębokie przemyślenia i refleksje mądrych ludzi, poszukujących nowego humanizmu". Konieczne jest przeprowadzenie wnikliwych studiów, określenie zamierzeń, wskazanie środków i dróg, wspólne podjęcie prac przez specjalistów, aby zadośćuczynić współczesnym potrzebom i wymaganiom przewidywanym na przyszłość". Encyklika "Populorum Progressio" była dokumentem przeznaczonym nie tyle dla ludu; co dla planistów.

"Indywidualna dobra wola" została poddana krytyce jako nie-tarczająca. Wcale nie wystarczy także "jedynie indywidualna inicjatywa". "Nie można bowiem posuwać się do tego, aby majątek i potęga bogatych bardziej jeszcze wzrastała, nędza zaś biednych pogłębiała się, a niedola uciśnionych stawała się coraz cięższa".

/1/ Cytaty z encykliki Pawła VI "Populorum Progressio" za "ZNAKIEM" nr. 332-334 lipiec wrzesień 1982r. - przyp. tłumacza

"Rządy techników, czyli tzw. technokracja /.../ może przynieść nieszczęścią nie mniej pożałowania godne, jak te, które wcześniej sprowadził liberalizm". /Zapewne Pawłowi VI chodziło o klasyczny liberalizm/.

Zasada "wzajemnej wymiany", twierdzi encyklika "Populorum Progressio", "już nie wystarcza jako jedyna zasada kierująca w stosunkach międzynarodowych". Ponadto "ceny ustalane swobodnie przez kontrahentów mogą pociągnąć za sobą skutki wprost krzywdzące". Ujmując rzecz w skrócie, "podstawowa zasada liberalizmu /to znaczy "pozwolenia" - przyp. autora/, jako norma stosunków handlowych, zostaje poddana w wątpliwość".

"Bogacz" powinien "płacić wyższe podatki, żeby władze publiczne mogły zwiększyć wysiłek na rzecz rozwoju". Musi on być również gotów "w razie potrzeby i w młodym wieku opuścić ojczyznę, aby nieść pomoc narodom zaczynającym się rozwijać".

"Kult własnej rasy" został potępiony. Daleko wznioślejszym uczuciem jest "miłość obejmująca cały rodzaj ludzki".

Reasumując: "wszelki nadmiar w krajach bogatszych powinien służyć krajom biednym". "Poszczególne narody powinny wytwarzać coraz więcej /.../, aby przyczynić się do wspólnego rozwoju całej ludzkości". "Światowa sytuacja wymaga wspólnych, zespolonych wysiłków". "Jeśli wszyscy /.../ zechcą /.../ przedsięwziąć wspólne i skoordynowane usiłowania /.../, zbliżyłoby to i mocno połączyło wole, umysły i serca".

Tak, nie mylicie się, Czytelnicy - oto leży przed Wami na wskroś socjalistyczny dokument. Jak twierdzi w swojej pracy doktorskiej Matthew Habiger, OSB, encyklika "Populorum Progressio" wyszła spod piór trzech watykańskich duchownych /jeden z nich zmarł w trakcie pisania/. Najbardziej życzliwym domysłem jest to, iż Paweł VI po prostu podpisał ów dokument, nie zdając sobie sprawy z jego implikacji. Centralne planowanie w istocie prowadzi bowiem wprost ku tyranii, co wykazali Friedrich Hayek i inni ekonomiści oraz dobitnie potwierdziło doświadczenie. W takich granicach, w jakich zalecenia "Populorum Progressio" zostały wprowadzone w życie, można też wytłumaczyć późniejsze załamanie się rozwoju Trzeciego Świata.

Encyklika Jana Pawła II, "Sollicitudo Rei Socialis" to zupełnie inna sprawa. Biorąc ogólnie, jest ona daleko bardziej abstrakcyjna niż "Populorum Progressio" - ponadto nie czyta się jej łatwo. Należy sądzić, iż napisał ją sam Jan Paweł II. Ma on niestety skłonność do używania rzeczowników abstrakcyjnych, które tłoczą się na każdej stronie niczym niedbale szczepione wagony pociągu towarowego. Autor pisze, na przykład, iż doktryna społeczna Kościoła "nie jest ideologią", lecz raczej /i tu włącza się płyta/ "dokładnym sformułowaniem wyników pogłębionej refleksji nad złożoną rzeczywistością ludzkiej egzystencji w społeczeństwie i w kontekście międzynarodowym, przeprowadzonej w świetle wiary i tradycji kościelnej". /2/

Dobłą wiadomością jest wszakże to, iż ekonomiczne środki zaradcze, które proponuje dokument są, generalnie biorąc, sensowne i bardzo się różnią od środków proponowanych przez Pawła VI. Jan Paweł II doradza na przykład "reformę międzynarodowego systemu handlowego obciążonego protekcjonizmem i rosnącym bilateralizmem". Jak się wydaje, Papież przywraca do łask wolny handel.

W następnym akapicie znajduje się coś, co z pewnością ma szansę na poparcie zwolenników stałych kursów walut, czy nawet monetarystów: "Światowy system monetarny i finansowy cechuje nadmierna zmienność metod wymiany i oprocentowania ze szkodą dla bilansu płatniczego i sytuacji zadłużenia krajów ubogich". Ekonomista Jack Kemp wystawiłby za to Papieżowi notę celującą.

/2/ Cytaty z encykliki Jana Pawła II "Sollicitudo Rei Socialis" za "ŁADEM" nr 12/181, marzec 1988r. - przyp. tłumacza

Jan Paweł II popiera także "transfer technologii" do krajów rozwijających się, co brzmi rozsądnie. George Gilder dodałby tutaj zastrzeżenie: próby ograniczenia przepisami swobodnego obrotu produktami, w których wykorzystano najnowsze technologie, wprowadzane po to, by artykuły te nie dostały się w ręce Sowieców - są sprzeczne ze zdrowymi zasadami gospodarczymi.

Ojciec Święty sugeruje nawet - oczywiście niezobowiązująco - iż "Organizacje Międzynarodowe" /dotychczas wynoszone przez Watykan pod niebiosami/ "zdają się być w takim stadium, w którym mechanizmy ich funkcjonowania, koszty i skuteczność działania wymagają ponownej dokładnej rewizji i ewentualnej korekty". Taktownie powiedziane, jednak sama obecność podobnych opinii w dokumencie papieskim, wprawdzie wyrażonych językiem dyplomatycznym, mogłaby zaskoczyć Lorda Bauera, znany postrach Banku Światowego.

Być może, najważniejsze jest to, iż Papież podkreśla, że rozwój domaga się "nade wszystko" - "ducha inicjatywy, od samych zainteresowanych krajów /.../ bez oczekiwania wszystkiego od krajów bardziej uprzywilejowanych". Każdy powinien czynić to, co potrafi najlepiej. "Każdy powinien zdobyć się na podejmowanie inicjatyw odpowiadających potrzebom własnego społeczeństwa". Inne narody "potrzebują reformy niektórych niesprawiedliwych struktur, a zwłaszcza własnych instytucji politycznych, aby zastąpić rządy zdeprawowane, dyktatorskie czy autorytarne - rządami demokratycznymi i dopuszczającymi uczestnictwo". Jan Paweł II popiera "autonomię" oraz "swobodę samookreślenia się".

Obecnego Papieża zapewne zasmuciłby komentarz Pawła VI dotyczący "kultu własnej rasy". Jak to widać podczas pielgrzymek. Jan Paweł II uwielbia przywdziawienie lokalnych strojów narodowych, odwiedzając egzotyczne kraje. W przeciwieństwie do Pawła VI, głosi "prawo każdego narodu do własnej tożsamości". Tak, duch encykliki "Sollicitudo Rei Socialis" jest znacznie bardziej demokratyczny i /w dobrym znaczeniu tego słowa/ egalitarny niż encykliki Pawła VI. Jan Paweł II przejawia także mniej entuzjazmu jeśli chodzi o ekspertów - i ma rację.

Innym pozytywnym novum jest potępienie przez Papieża poglądu, wedle którego rozwój jest procesem "jakby automatycznym", jak gdyby "ludzkość miała szybko podążać ku nieokreślonej doskonałości". Ów pogląd na postępek /ma on korzenie, jak twierdzi Papież, w epoce Oświecenia/ można znaleźć już od dwóch stuleci w socjalistycznych dziełach z zakresu ekonomii; opierają się na nim, choć nikt nigdy nie wyraził tego wprost, teorie rozwoju głoszone przez Bank Światowy, Międzynarodowy Fundusz Walutowy oraz ONZ. Cieszy serce, iż Papież dostrzegł i poddał krytyce fałszywe pojęcie postępu. "Miejsce naiwnego optymizmu mechanicznego zajął uzasadniony niepokój o los ludzkości" - twierdzi Ojciec Święty.

To wszystko można zapisać na plus. Są jednak również złe wiadomości; jedną z nich jest, jak się wydaje, to, iż Papież zupełnie nie rozumie sensu produkcji oraz tego, iż by taki postępek miał miejsce, muszą istnieć pewne instytucje polityczne. Nie ulega wątpliwości, iż Jan Paweł II dostrzega bezsens planowania - widząc przykład Polski - oraz, iż eksperci nie potrafią czynić cudów. Podobnie jak swój poprzednik, sądzi zapewne, że produkcja jest w pewnym sensie pochodną kolektywnej mobilizacji mas. Rozwoju powinni "doświadczać wszyscy", wymaga on "zjednoczonego współdziałania wszystkich dla wspólnego dobra ludzkości", jest "albo dla wszystkich, albo dla nikogo", ponadto nie można go dokonać bez "współpracy wszystkich". Wszystko to sugeruje, czego wiele osób na Zachodzie nie chce dostrzec: iż Papież jest w głębi serca człowiekiem lewicy. Postawa ta jest w znacznej mierze ukryta, albowiem Jan Paweł II pozostaje również teologicznym ortodoksem - w dzisiejszych czasach jest to dziwaczne połączenie, choć niegdyś bardzo często występowało wśród chrześcijan.

Papież potępia liberalny kapitalizm, być może nie widząc, iż niezależność, autonomia oraz indywidualna inicjatywa, które sam popiera, wiodą wprost ku liberalnemu kapitalizmowi. /Może więc nazwałby go jakoś inaczej/. Podobnie jak wielu innych duchownych, Papież wydaje się sądzić, iż jeśli niektórzy ludzie są bogaci, zawsze wzbogacali się na koszt tych, którzy pozostają ubodzy. Píše o bogactwie tak, jakby było ono manną z nieba, spadającą w nieproporcjonalnych

ilościach na "Północ", gdzie należałoby dokonać redystrybucji, kierując manę na "Południe". Dobra tego świata - powtarza - "zostały pierwotnie przeznaczone dla wszystkich". /Co to stwierdzenie wszakże oznacza? Czy usprawiedliwia ono na przykład kradzież?/.

Duchownym, którzy żyją z redystrybucji, *via taca*, z pewnością bardzo trudno przychodzi zrozumieć, iż nowe bogactwo nie pochodzi z niczego: należy je stworzyć. Idea ta może być szczególnie niezrozumiała dla osób z krajów komunistycznych, gdzie nowe bogactwo nie jest tworzone, przynajmniej nie na wyższym poziomie, który wyznaczają uboga egzystencja narodu oraz wytwarzanie broni, dzięki której klasa rządząca pozostaje przy władzy.

Należy sądzić, że innym powodem, z którego papieżom i kardynałom od długiego czasu trudno zaakceptować liberalny kapitalizm, jest to, iż jego ahierarchiczna struktura jest im obca. Władcom Kościoła bardzo łatwo przychodzi pojąć "nakazową" hierarchię komunizmu, w której istnieje politbiuro i urzędnicy partyjni - dzięki analogiom z kurią i biskupami. W tradycyjnym, arystokratycznym porządku europejskim - z królami i ich dworami - w podobny sposób patrzono krzywo na kapitalizm, który nie opiera się na usytuowaniu społecznym jednostki, tylko na kontrakcie, będącym instytucją egalitarną. Kapitalizm, podobnie jak mecz piłkarski, może być "rozgrywany" jedynie na równym boisku - i jak w piłce nożnej, nie ma tu gwarancji, iż mecz skończy się remisem.

Być może, najgorsze w ostatniej encyklice jest tłumaczenie przez Jana Pawła II między Trzeciego Świata istnieniem dwóch przeciwstawnych "bloków" - kapitalistycznego i marksistowskiego, reprezentujących "przeciwstawne formy organizacji pracy i struktury własności". Znamienne, iż Papież stawia znak równości moralnej między tymi dwoma blokami, z których pierwszy pragnie zniszczyć religię, a drugi przynajmniej ją toleruje. Nieuchronnie doszło do tego, iż dwa bloki, każdy "przy użyciu własnych form propagandy i wpajania przekonań", doprowadziły do "rosnącej przeciwstawności militarnej", każda uzbrojona potęga "nieufna wobec drugiej i lękająca się przewagi drugiej". Oba bloki kryją w sobie "skłonność do imperializmu" i w rezultacie "wyolbrzymionego niepokoju o własne bezpieczeństwo", zabierają dobra "wszystkim ludom pragnącym pokoju, pozbawionym prawa dostępu do dóbr przeznaczonych dla wszystkich ludzi".

Jim Wallis z "SOJOURNERS" oraz inni lewicowi rzecznicy rozbrojenia nie wyłobyli tego jaśniej i zapewne powtórzyliby niemal dokładnie słowa Papieża.

Jan Paweł II jest oczywiście zupełnie usprawiedliwiony, potępiając Zachód za jego rozmaite winy, zwłaszcza przerywanie ciąży oraz naszą destruktywną /czyli - "imperialistyczną"/ politykę kontroli urodzeń - przeciw której, nawiasem mówiąc, nie protestuje Konferencja Biskupów Katolickich USA. Jednak krytykowanie Zachodu za wydawanie pieniędzy na przeciwstawienie się ekspansji totalitarnych, ateistycznych sił, wydaje się po pierwsze niepojęte, a po wtóre, powoduje, iż encyklika jest traktowana poważnie wyłącznie w środowiskach lewicowych. Oczywiście możliwe, iż na opinie Papieża o bloku komunistycznym, zawartą w "Sollicitudo Rei Socialis" wpłynęła ostrożność. Nikt lepiej od Jana Pawła II nie zna układu stosunków między Kościołem i państwem w tych krajach, gdzie Kościół Katolicki jest zaledwie tolerowany. Na dobitkę, Papież najwidoczniej liczył /a może nadal liczy/ na złożenie wizyty w Moskwie w tym roku z okazji 1000-lecia chrztu Rusi. Jeśli jednak owe dwa czynniki grały jakąś rolę, dokument watykański ma raczej charakter polityczny aniżeli pontyfikalny i należy odczytywać go w takim właśnie sensie.

Jak zauważył P.T.Bauer w swoim szkicu o ekonomii kościelnej, dziwią duchowni, zajmujący się sprawami materialnymi, "podczas gdy wszędzie można dostrzec, iż dobrobyt materialny nie jest w stanie zapewnić szczęścia, zadowolenia i spokoju społecznego". Znacznie poważniejsza i bardziej interesująca byłaby papieska krytyka kapitalizmu wyłącznie z powodu jego sukcesu materialnego, który powoduje, iż nadzieje ziemskie górują nad duchowymi. Samochody sportowe, narciarskie ośrodki rekreacyjne, wystawne posiłki oraz wyrafinowany komfort: wszystko to sprawia, że ludzie przestają u nas myśleć o niebie i piekle, gdy

tymczasem beznadziejność materialna panująca w krajach komunistycznych z pewnością wpływa na przywrócenie nadziei na życie pozagrobowe. Wydaje się, iż chrześcijańskie argumenty za komunizmem właściwie mogłyby być takie; nie byłyby to zapewne argumenty zbyt mocno uzasadnione, tym niemniej, ekonomiści polemizowaliby z nimi jedynie w ostateczności. /Oczywiście marksiści nie wyraziliby na nie zgody/.

Rozumując podobnie, dochodzimy do następnego wniosku - otóż, czy krach gospodarczy Trzeciego Świata nie jest w ostatecznym rozrachunku sukcesem duchowym? Przecież Kościół Katolicki rozwija się najszybciej właśnie w krajach Trzeciego Świata /zwłaszcza afrykańskich/. W tym kontekście ogromne zaskoczenie budzi konsekwentny materializm ogłaszanych ostatnio przez Watykan dokumentów społecznych.

Istotnie, Papież rzeczywiście zdaje się sugerować coś w tym duchu. "Rozumie się dziś lepiej - pisze - że samo nagromadzenie dóbr i usług, nawet z korzyścią dla większości, nie wystarcza do urzeczywistnienia ludzkiego szczęścia". Dochodzi do niepokojącej konkluzji, iż stoimy w obliczu pewnego "nadrozwoju, polegającego na nadmiernej rozporządzalności wszelkiego typu dobrami materialnymi na korzyść niektórych warstw społecznych, łatwo przemieniającym ludzi w niewolników posiadania i natychmiastowego zadowolenia, nie widzących innego horyzontu, jak tylko mnożenie dóbr już posiadanych lub stałe zastępowanie ich innymi, jeszcze doskonalszymi."

Owe dociekania duchowe, czy też teologiczne, mogą przynieść daleko lepsze wyniki aniżeli wszelkie ubliżające międzynarodowe porównania, od których aż się roi w dokumentach kościelnych ostatnich dziesięcioleci. Należy sądzić, iż kierunek, przyjęty przez Papieża, określa wszelkie przyszłe stanowiska Watykanu w dziedzinie spraw społecznych. Być może, moglibyśmy ożywić dyskusję, poddając kilka myśli. Oto one: jeśli duchowni pragną rozwoju gospodarczego, należy wiedzieć, iż prowadzi doń tylko jedna, jedyna droga - ludzie muszą mieć pełną swobodę w podejmowaniu decyzji, muszą być właścicielami dóbr, które wytwarzają własną pracą oraz muszą być wolni od lęku, iż rządy ich państw odbiorą im te wytwory, czy to nakładając nadmierne wysokie podatki, czy przez dewaluację pieniądza, czy wreszcie uciekając się do gwałtu. Jeśli ludzie nie będą wolni od tych obaw, będą wytwarzać niewiele. Należy się im prawo do własności, swoboda w zakresie zawierania umów oraz rządy prawa /polegające na tym, że prawo stosuje się jednakoż zarówno do rządzących jak rządzonych/.

Jeśli to wszystko zostanie ludziom dane, zaczną wytwarzać mnóstwo dóbr i ani się obejrzą, jak zasiądą za kierownicami wozów średniolitrażowych, oszczędzając na eleganckie limuzyny. Potem może istotnie zagrozić im niebezpieczeństwo zapomnienia o zbawieniu dusz. Poważnym i odpowiedzialnym zadaniem dla Watykanu będzie w podobnych warunkach wspieranie wolności, która jest konieczna do utrzymania dobrobytu materialnego oraz budzenie sumień, co jest niedozwolne do osiągnięcia zbawienia duchowego.

Pewien starszy wykładowca w Towarzystwie Hoovera powiedział ostatnio, iż jeśli Papież tak bardzo nie lubi kapitalizmu, być może powinien postępować w myśl własnych zasad i odmawiać przyjmowania naszych pieniędzy. Jeśli jednak wzięć pod uwagę 56 milionów dolarów deficytu Watykanu w 1986 roku, pomysł ów staje się raczej mało praktyczny. Być może, katolicy w USA powinni bardziej niż dotychczas przyczyniać się do powiększenia ich świętopietrza. Przyczyniłoby się to do złagodzenia deficytu, jednak nade wszystko zapobiegłoby wprowadzeniu w życie budzącego grozę i mogącego odebrać wiarę zalecenia umieszczonego w ostatniej encyklice; chodzi o to, iż: Kościół powinien rozważyć sprzedaż "bogatego wystroju świątyni i drogocennych paramentów".

Tom BETHELL

przełożył: MASON

"PAPIESKA POKRETNOSĆ"

W kolejnym numerze "NATIONAL REVIEW" /z 29 kwietnia 1988/ opublikowano interesujący list Czytelniczki dotyczący artykułu T. Bethella. Oto fragmenty tego listu:

Jeżeli Tom Bethell trafnie analizuje encyklikę Jana Pawła II /"Moja bardzo wielka wina?"/, należy się martwić, kto doradza Ojcu Świętemu w sprawach ekonomii i polityki. Jan Paweł II ma rację, twierdząc, iż potrzeba nam "zjednoczonego współdziałania wszystkich dla wspólnego dobra ludzkości", w tym miejscu nasuwają się jednak nader istotne pytania: w myśl jakiej ideologii? Oraz: jakimi środkami?

Dokonując porównania dwóch bloków, Jan Paweł II zdaje się zapominać o religii. Jego uwadze uchodzi to, że nie ma mowy o jakiegokolwiek jedności światowej, jeśli świat dostrzega konflikt Wschód-Zachód jako konflikt dwóch różnych ideologii, a nie jako usiłowanie wolnego świata, by położyć kres prześladowaniom religii oraz niezależności ekonomicznej w krajach totalitarnych /1/. Oczywiście, iż: "Ludzie muszą mieć pełną swobodę w podejmowaniu decyzji, muszą być właścicielami dóbr, które wytwarzają własną pracą... oraz muszą być wolni od lęku" - przed uciążliwymi, tępymi i skorumpowanymi władzami. "Centralne planowanie prowadzi bowiem wprost ku tyranii". Tam gdzie panuje wolność, można pomagać opuszczonym.

Kapitalizm nie jest materializmem; jest nim komunizm. Samochody, ośrodki wypoczynkowe, jachty itd. są środkami, służącymi nam do rozkoszowania się wolnością tu, na ziemi; jednocześnie wypełniamy nakazy Boga, pomagamy sąsiadom i wiemy, że gdy nadejdzie śmierć, obrócimy się w proch, osiągając jednak byt duchowy. /.../

Martha CUNNINGHAM /Baltimore/

Przekład: MASON

/1/ Nie jest to tak oczywiste jak sądzi autorka listu. Jan Paweł II dokonuje jednak rozróżnienia między ustrojami totalitarnymi /czytaj komunistycznymi/ a autorytarnymi /czytaj kapitalistycznymi ale niedemokratycznymi/ z korzyścią dla tych ostatnich. Jeszcze lepiej musi więc wypaść "demokratyczny kapitalizm" - przyp. "T".

Ukazujący się od stycznia 1982 r. miesięcznik polityczny "NIEPODLEGŁOŚĆ" wydawany jest przez GRUPĘ PISMA "NIEPODLEGŁOŚĆ" - S.A.

Posiada ona wszelkie prawa wydawnicze na obszarze Polski. Przedruk poszczególnych artykułów dozwolony z podaniem źródła. Całość po porozumieniu z GP"N".

Prawami wydawniczymi zagranicą dysponuje nasz Przedstawiciel Tadeusz KADENACY - 32, WINTERFOLD CLOSE, LONDON, SW 19 6 LE.

Współdziałają z nami, na terenie:
- Wielkiej Brytanii "FRIENDS OF "NIEPODLEGŁOŚĆ" /adres - Tadeusz KADENACY/
- Skandynawii Janusz CUPRYJAK /Villagatan 10, 33012 Forsheda, Sveden/

KOMUNIKATY:

1. Apelujemy o pomoc finansową i rzeczową.
2. Tadeuszowi Lic dziękujemy za książki i pomoc.
3. Potwierdzamy - Dowbor - 1000. Dziękujemy!



STYCZEŃ
LUTY

1989

miesięcznik polityczny
Organizacji Liberalnych Demokratów

Nr 84-85

WARSZAWA

CENA 120 ZŁ

LEWACKI PROGRAM "SOLIDARNOSCI"

POTRZEBA ZWIĄZKU /JERZY KROPIWNICKI/

O JEDNOSCI Z KULTURĄ EUROPEJSKĄ.../JERZY LENCZOWSKI/

WSPÓLNA EUROPA

OŚWIADCZENIE W SPRAWIE POLITYKI GOSPODARCZEJ /AKCJA GOSPODARCZA/

NOTATNIK ARKADYJSKI:

XXXIII. TYLKO RYNEK

SOLLICITUDO REI SOCIALIS

"SOLIDARNOSC I WOLNOSC" W "SWIATOWEJ WIOSCE"

MOJA BARDZO WIELKA WINA? /"NATIONAL REVIEW"/

PAPIESKA POKRĘTNOŚĆ /"NATIONAL REVIEW"/

KOMUNIKATY